



000000000

Die
polnische Umgangssprache.

Eine Auswahl
von Gesprächen des täglichen Lebens.

Nebst Wörterbuch und Erläuterungen in separatem Anhange.

Von

Severin Kutner.

1. Teil: Übungsbuch.



1845. * Leipzig, * 1895.

Verlag von Raimund Gerhard,
vormals Wolfgang Gerhard.



Vorwort.

Die gute Aufnahme, welche die im Gieglerschen Verlage erschienenen fremdsprachlichen Echo's bei dem fremde Sprachen lernenden Publikum gefunden haben, legte dem Verfasser den Gedanken nahe, die in jenen Büchern befolgte Methode auch auf die polnische Sprache zu übertragen.

Das vortreffliche Morawskysche „Echo“ der russischen Sprache hat im allgemeinen als Vorbild gedient, während die Ausführung im einzelnen natürlich durch die Eigentümlichkeiten der polnischen Sprache und des polnischen Lebens bedingt wurde.

Das vorliegende Buch soll, wie der Titel besagt, die polnische Sprache des täglichen Lebens so, wie sie gesprochen wird, wiedergeben. Daher sind auch die vorkommenden Zahlen und Daten zunächst nicht in Ziffern, sondern in Buchstaben angeführt; die daneben in Klammern eingeschlossenen Ziffern und Abkürzungen geben dann außerdem die im Polnischen übliche Schreibweise an.

Um die Benutzung des Buches — insbesondere für den Selbstlernenden — zu erleichtern und ersprießlicher zu gestalten, habe ich dem Werkchen ein kleines Wörterbuch beigegeben, welches zugleich die Erklärung der zahlreichen sprichwörtlichen Wendungen und mancher dem Deutschen besonders schwer verständlichen Ausdrücke enthält. Das Wörterbuch, der größeren Bequemlichkeit wegen von dem eigentlichen Text getrennt, ist dergestalt verfaßt, daß neben jeder polnischen Vokabel nur alle diejenigen deutschen Bedeutungen angegeben sind, die dem Sinne des bezüglichen Wortes im Texte meiner „Polnischen Umgangssprache“ selbst genau entsprechen; die ursprünglichen Bedeutungen sind daher oft

überhaupt nicht verzeichnet. Ich hebe die hierbei angewendete Methode deswegen ausdrücklich hervor, um allen Mißverständnissen vorzubeugen, die bei der Benutzung dieses Wörterbuches für eine anderweitige Lektüre unvermeidlich wären.

Das militärische Kapitel über das Lager in Warschau ist aufgenommen, um das Buch den Polnisch lernenden Offizieren, für die es in erster Linie geschrieben ist, auch hinsichtlich militärischer Fachausdrücke zu einem brauchbaren Hilfsmittel zu machen.

Schließlich fühle ich mich verpflichtet, Herrn Premierlieutenant Krafft von der Kriegsakademie für die mir gewordenen Anregungen, sowie auch Herrn Oberlehrer Dr. Wege, Dozent der polnischen Sprache ebendort, für das meinem Unternehmen gegenüber in mehrfacher Hinsicht bethätigte Interesse meinen Dank an dieser Stelle auszusprechen.

Berlin, im Mai 1895.

Der Verfasser.

Spis rzeczy.

I. Teil.

	Seite
Vorwort	III
Berichtigungen	VI
1. W wagonie	1
2. Na granicy	5
3. Kraj i jego mieszkańcy	8
4. Przyjazd do Warszawy	11
5. Przywitanie w domu	14
6. Życie domowe: obiad	17
7. Ciąg dalszy: mieszkanie, gospodarstwo	21
8. Policya, meldunki, paszporty	25
9. Spacer po mieście	28
10. Spacer po mieście (ciąg dalszy)	35
11. Szkoły	39
12. Ogólne wychowanie dzieci	43
13. Załatwianie sprawunków	46
14. Wycieczka do Wilanowa: jazda	49
15. Ciąg dalszy: pobyt na miejscu	53
16. Bal	57
17. Po balu	65
18. Teatr	69
19. Łazienki	74
20. O wojsku	79
21. W drodze na wieś	84
22. Na wsi: gospodarstwo, polowanie	89
23. Odjazd i pożegnanie	95

II. Teil.

Erläuterungen	1
Abfürzungen	8
Wörterbuch	9

Berichtigungen.

Teil I S. 58 Z. 6 von oben ließ samej statt sama.
" I " 88 " 11 " unten ließ szyi statt szyji.
" I " 89 " 2 " " " tyczy statt tyczy do.

1. W wagonie.

— Przepraszam pana, czy rychło będziemy mieli dłuższy przystanek?

— Na następnej stacyi pociąg stoi, o ile mnie pamięć nie zawodzi, około piętnastu minut.

— Ach, to pysznie! Dziękuję.

— Zapewne chce się panu bardzo jeść¹⁾?

— Istotnie, po dobrze przespanej nocy uczuwam „wilczy apetyt“.

— Że pan śpi nie najgorzej, widocznem było, jak nadkonduktor przychodził nad ranem po bilety i nie mógł się pana dobudzić.

— „Chwała Bogu“²⁾, nie mogę narzekać na bezsenność wogóle, a tem bardziej w podróży. Zwykle — nudy w wagonie, a sen na nie jest najlepszem lekarstwem. Przytem tutaj tak „dobrze, jak u Pana Boga za piecem“. Czy tylko na wszystkich drogach rosyjskich są podobne wygody?

— Ale gdzie tam! Właściwe wagony sypialne kursują, na przykład (n. p.), u nas w Polsce tylko na liniach Warszawsko-Wiedeńskiej, Petersburskiej i Terespolskiej, i aż do wprowadzenia taryfy strefowej jazda nocą w zwyczajnych wagonach nie należała do największych rozkoszy. W sypialnych ławki są tak długie, że można się na nich wyciągnąć całym ciałem; oprócz tego tylne poręcze podnoszą się i tworzą jakby wierzchnie posłania, umozębniające czterem pasażerom wygodny nocleg w każdym przedziale. W innych wagonach siedzenia są często wąskie, a w pierwszej (I-ej) i drugiej (II-ej) klasie poprzdzielane niekiedy poręczami po bokach.

— Ależ to nieznośne!

— Cóż robić? O wyciągnięciu się na takich siedzeniach nawet mowy być nie może. Całe szczęście, że nasza Polska za mała na to, by módz w niej podróżować kilka nocy z rzędu³⁾: wyglądałby człowiek po dwóch lub trzech dobach, „jak z krzyża zdjęty“.⁴⁾

— W jakim kierunku nastąpił zwrot ku lepszemu w urządzeniach wagonowych z chwilą zastosowania taryfy strefowej?

— Nowe udogodnienie, panie, to istne dobrodziejstwo boże. Nie wiem, czy doszła już do uszu pańskich wiadomość o zorganizowaniu sprzedaży miejsc sypialnych w pociągach.

— Proszę, opowiedz pan coś o tej nowości, — może i ja skorzystam z niej w krótkim czasie.

— Obecnie pasażerowie wszystkich trzech klas otrzymują za odpowiednią dopłatą miejsca do spoczynku na czas od godziny dziewiątej (godz. 9-ej) wieczór do dziewiątej (9-ej) rano.

— Dziękuję za spanie na gołych ławkach trzeciej (III-ej) klasy, a nawet za opieranie głowy o wyściełane poręcze!

— Chwileczkę cierpliwości. Do miejsc sypialnych należą: w pierwszej (I-ej) i drugiej (II-ej) klasach — bielizna do pośłania, poduszka i kołdra, a w trzeciej (III-ej) klasie — tylko poduszka.

— To co innego. Na niezłą myśl wpadło rosyjskie ministerium dróg i komunikacji. Ale skąd biorą w pociągach naraz dowolną ilość miejsc sypialnych?

— Miejsca muszą być zamawiane przed nastąpieniem nocy, a reszta należy do służby kolejowej. Nad zajętemi ławkami zostają wywieszane odpowiednie znaki, nie pozwalające korzystania z miejsc innym osobom, oprócz posiadacza biletu. W podróży to nie bagatela!

— Czy nie odstrasza pasażerów od wynajmowania wygórowana opłata?

— Bynajmniej. Wynosi ona za noc w pierwszej (I-ej) klasie — dwa ruble pięćdziesiąt kopiejek (Rb. 2 kop. 50), za dwie noce — o dwa ruble więcej, za trzy — pięć rubli siedemdziesiąt pięć kopiejek (Rb. 5 kop. 75), w drugiej (II-ej) klasie: dwa ruble (Rb. 2), trzy ruble

pięćdziesiąt kopiejek (Rb. 3 kop. 50), w trzeciej (III-ej): za pierwszą noc — półtora rubla, a za każdą następną o rubla ⁵⁾ drożej. Toć to nie za drogo . . .

— Nie omieszkam sprawdzić wkrótce praktyczność innowacyi. Z wprowadzeniem taryfy strefowej Rosya postąpiła o dobry krok naprzód w swej działalności reformatorskiej.

— Ma pan słuszną rację. Trudno przesądzać wypadki, jednak jestem święcie przekonany o tem, że reforma kolejowa pociągnie za sobą zbawienne skutki dla dobrobytu kraju, i że owoce z niej będą zbierali zarówno poddani, jak i skarb. Powtórzy się w Rosyi to, co zaszło na Węgrzech.

— Jaką normę przyjęto przy obliczaniu opłaty za przejazd?

— Za przestrzeń od jednej do stu sześćdziesięciu wiorst (1—160 w.) włącznie w trzeciej (III-ej) klasie po kopiejce z czemś — około półtorej kopiejki ($1\frac{1}{2}$ kop.) za każdą wiorstę, od stu sześćdziesięciu do trzystu (160—300) dodaje się do opłaty za sto sześćdziesiąt wiorst (160 w.) po dziewięć dziesiątych kopiejki (0,9 kop.) za każdą następną wiorstę, od trzystu jednej wiorsty (301 w.) — po dwadzieścia kopiejek (20 kop.) za każdą strefę do opłaty za trzysta wiorst (300 w.). Rozległość stref wynosi dwadzieścia pięć (25), trzydzieści (30) i tak dalej (itd.) do pięćdziesięciu (50) wiorst, zależnie od wielkości przejeżdżanej przestrzeni. Pasażerowie drugiej (II-ej) klasy płacą półtora raza drożej od powyższej normy, a pierwszej (I-ej) — półtrzecia.

— Bardzo to znaczna zniżka taryfy w porównaniu z dawną.

— Niechaj panu wystarczy na dowód fakt, że po trzynastym stycznia tysiąc osiemset dziewięćdziesiątego piątego roku (13-tym stycznia 1895 r.) cena biletu za przejazd z Warszawy do Petersburga w drugiej (II-ej) klasie wynosi mniej, niż przed wprowadzeniem nowej taryfy w trzeciej (III-ej).

— Nareszcie stacya! Czy i pan wysiada?

— Przetrąciłbym coś.

— Bardzo dobrze się składa: przyjemniej nam

będzie we dwóch. Ale co począć z naszymi rzeczami? Przecież je mogą skraść jak najspokojniej.

— I na to jest rada. Poproszę konduktora, który właśnie podchodzi do naszego wagonu, żeby dał baczenie na pakunki, a za napiwek uczyni to z chęcią. — Ej, panie konduktorze!

— Czego panowie sobie życzą?

— Proszę przypilnować tych oto rzeczy podczas naszej nieobecności. A to na wódeczkę.⁶⁾

— Dziękuję. Będę strzegł, „jak oka w głowie“.

— Czy pan zamierza podjeść sobie, jak należy, czy też tylko zakąsić?

— Jabym zjadł coś z mięsa i popił filiżanką czarnej kawy, — do Warszawy jeszcze kilka godzin jazdy.

— Pójdę za pańskim przykładem. Bufet zaopatrzony wcale nieźle.

— A tak.

— Cóż to, już dzwonek? Ledwo zasiadłem do jedzenia, a tu trzeba rzucać wszystko i wracać do wagonu . . .

— Niema pośpiechu, jeszcze pan zdąży. Przecież to pierwszy dzwonek; po nim nastąpią drugi i trzeci, sygnał nadkonduktora za pomocą gwizdawki, odpowiedź z parowozu, gwizdanie powtórne, i wtedy dopiero pociąg ruszy z miejsca . . . o ile który ze spóźnionych pasażerów nie wybiegnie z sali i nie pocznie biedz ku wagonom. I to się zdarza.

— Ja już skończyłem.

— Kelner, co się należy?⁷⁾

— Dwa ruble czterdzieści kopiejek (Rb. 2 kop. 40).

— Spisz rachunek na karteczce.

— Służę panu.⁸⁾

— Wódka z zakąską — dwadzieścia kopiejek (20 kop.), kotlet z jarzynką — siedemdziesiąt pięć (75), wino — rubla ⁹⁾ dwadzieścia (Rb. 1,20), kawa — dziesięć kopiejek (10 kop.), papierosy — piętnaście (15) . . . zgadza się. Zmień mi sto rubli.

— Pójdę do kasy.

2. Na granicy.

— Gawędzimy już od kilku godzin ze sobą, a nie wiem, z kim mam przyjemność. Jestem N.

— P.

— Bardzo mi przyjemnie. Ale, ale, — przypominam sobie, że jakeśmy się zbliżali ku rosyjskiej granicy, wyrażał pan niejaki obawy co do¹⁰⁾ formalności paszportowych i rewizyi na komorze.

— A tak, i miałem ku temu słuszne powody. Wyobraź pan sobie, już w Berlinie na wyjeździe¹¹⁾ spadł na mnie istny dopust boży. Najpierw z paszportem . . .

— Czy wzbraniały panu wydania miejscowe władze?

— Nie, to „poszło, jak z płatka“¹²⁾; ale przychodzę w dzień wyjazdu do rosyjskiego konsulatu dla wizowania paszportu, a tu naraz żądają ode mnie świadectwa chrztu. „Poco? — pytam zdziwiony, — jestem chrześcijaninem z urodzenia.“ „Taki mamy przepis,“ odpowiada urzędnik „krótko i węzłowato“. „Cóż ma on na celu?“ — pytam dalej. „Wolno nam wizować paszport bez wszelkich zastrzeżeń tylko chrześcijanom, — żydom, o ile¹⁾ udają się do Rosyi na czas nie dłuższy nad trzy tygodnie w charakterze szefa firmy albo upoważnionego współpracownika dla załatwienia interesów. Więc świadectwo chrztu wyjaśnia nam, z kim mamy do czynienia. Nie pozostaje panu nic innego, jak przynieść żądany dokument.“

— I cóż pan począł z sobą?

— Ha, cóż było robić po takim „odprawieniu mnie z kwitkiem“?¹³⁾ Zanim wydostałem ów szpargał, upłynęło kilka godzin, i o wyjeździe tego samego dnia mowy być już nie mogło. Nie jestem bynajmniej zabobonny, ale całe to zajście nieprzyjemnie jakoś mię tknęło. W drodze znowu wypadła mi czapka podróżna, jakem się wychylił przez okno, i szukaj jej teraz po świecie. A gdym sobie na dobitkę uprzytomnił liczne opowiadania, zasłyszane o kłopotach i nieprzyjemnościach, połączonych z przekraczaniem rosyjskiej granicy, to mię poczęły „przechodzić ciarki po ciele“.

— Jak się skończyły pańskie obawy? Chyba niezbyt tragicznie: „nie tak szpetny dyabeł, jak go malują“. Ja wprawdzie obiecałem być panu pomocnym, lecz straciłem go zupełnie w tłumie z oczu.

— A no, przy odbiorze paszportów przez żandarma był pan obecny, więc wie, żem wyszedł na razie cały.¹⁴⁾ Następnie zaprowadzono mnie do rewizyi. Żle, myślę sobie, może mam za dużo cygar, — miałem kilka setek w walizie, a nie wiedziałem, ile sztuk wolno przewieźć przez granicę bez cła.

— Dobrze poszło panu przy rewizyi?

— Szczęśliwie jakoś. Urzędnicy celni nie bardzo przerzucali mi rzeczy. Powiedz pan z łaski swojej¹⁵⁾, ile cygar właściwie wolno mieć przy sobie; będę wiedział, czego się trzymać na przyszłość.

— Sto sztuk; reszta podlega opłacie celnej w wysokości dwóch rubli dwudziestu kopiejek (Rb. 2 kop. 20) w złocie — w papierkach¹⁶⁾ mniej więcej o czterdzieści procent (40 %) drożej — za każdy funt.

— Wpadłbym na kilka rubli. Książek żadnych nie miałem, i tym sposobem rewizya zakończyła się nad wyraz¹⁷⁾ pomyślnie. Odetchnąłem, — aż tu naraz przypominam sobie, że paszport został w rękach żandarma. „Gwałtu, rety“!¹⁸⁾ jak tu jechać dalej!? Zaczynam biegać po peronie, rozpytywać tu i owdzie i wreszcie odetchnąłem ponownie z głębi piersi, gdy mnie objaśniono, że paszport otrzymam w wagonie. Tymczasowo głód mi zaczął dokuczać, i chciałem się pożywić, ale w obawie, bym nie spóźnił pociągu i nie „został na koszu“¹⁹⁾, dopadłem jak najprędzej do przedziału i tu uszczęśliwiony spotkałem szanownego pana po raz drugi.

— Ha, ha, a to ci pan dopiero „przeszedł opały“!²⁰⁾ Po jakiemu²¹⁾ rozmawiał pan z ludźmi przez cały ciąg awantury?

— Z „grubszemi rybami“²²⁾ po niemiecku, zresztą po polsku dla wprawy.

— Nie godzi się wyciągać mnie na komplement...

— Jakim sposobem? Pan mi podsuwa grzeszne intencye...

— Bo jeśli komu, to nie panu zbywa na wprawie

w polskiej mowie. Kiedy pan nabył tak zadziwiającą znajomość języka? Gdybym nie wiedział, że mam Niemca przed sobą, wziąłbym pana za Polaka, a w najgorszym razie za spolszczonego cudzoziemca.

— Jestem rodem ze Wschodnich Prus, gdzie mój ojciec gospodaruje na sporym majątku, i od dziecka²³⁾ miałem do czynienia z polską mową. Potem poszła ona u mnie prawie w zapomnienie.

— Czy pan opuścił strony rodzinne?

— Oddano mnie do gimnazjum w Gdańsku, i dojeżdżałem do domu tylko na wakacje, — i to nie zawsze, ponieważ rodzice spędzali wiele czasu w mieście. Zresztą, póki byłem dzieckiem, bawiłem się razem z chłopakami wiejskimi i byłem zmuszony mówić po polsku; kiedym podrósł i wstąpił do szkoły, uważałem sobie za ujmę²⁴⁾ obcowanie z chłopami, — ja, gimnazysta, którego już uczono łaciny!

— Więc podjął pan na nowo naukę polskiego języka w późniejszym wieku?

— Pracuję nad nim gorliwie od kilku lat.

— Trudy pańskie zostały uwieńczone świetnym rezultatem.

— Czy mogę służyć panu cygarem?

— Dziękuję ślicznie, palę papierosy.

— Ale, ale . . . nasz wagon jest dla niepalących.

— Pozostańmy na platformie.

— I owszem, ale zauważam oto ostrzeżenie, by nie stawać w czasie jazdy na platformach wagonów.

— Nic nie szkodzi. Zakaz ma na celu zapobieżenie nieszczęśliwym wypadkom, ale rzadko zostaje przestrzegany: od czasu do czasu trzeba wyjść, by zapalić papierosa⁵⁾, lub, po prostu, dla zaczerpnięcia świeżego powietrza, — szczególnie w pociągach spacerowych w niedziele i święta. Taki wtedy tłok, tak duszno w przedziałach, że część spacerowiczów chcąc niechcąc pozostaje na platformach.

— Szkoda, że pan nie pali cygar. Udało mi się niedawno nabyć kilka pudełek prawdziwych hawana w najlepszym gatunku i chciałem właśnie jednym z nich poczęstować pana.

— W takim razie cofam swą odmowę. Palę zwykle

papierosy, ponieważ u nas trudno o dobre cygara, i drogie one bardzo, ale tym razem skorzystam z okazji. Rzeczywiście, wyśmienite cygaro! No, a teraz do wagonu.

3. Kraj i jego mieszkańcy.

— Czy nie będzie niedyskrecją z mojej strony pytanie, dokąd pan zmierza?

— Mam urlop od swej połowicy tylko na dwa miesiące, więc nie wiem, czy zdążę wykonać cały plan.

— Na czym on polega?

— Zamierzałem spędzić kilka tygodni w samej Warszawie, a następnie pobujać resztę czasu po prowincyi i Rosyi, poznać kraj i mieszkańców. Dziś po głębszym namyśle zaczynam się wahać.

— Słusznie, — zadanie to trudno wypełnić w pół roku, cóż dopiero ²⁵⁾ w dwa miesiące. Sama Rosya, poza kolosalnym obszarem posiadłości i różnorodnością warunków przyrodzonych, przedstawia taką rozmaitość zaludniających ją plemion i szczepów, jak żadne z mocarstw europejskich. Znajomość północy nie daje nam nawet przybliżonego pojęcia o tem, czym jest górzysty Kaukaz z swą południową dziką, a malowniczą naturą i napoły barbarzyńską ludnością, — cywilizacya poczyną dopiero przenikać w te strony i odbijać swe piętno na kraju; żyjąc w Moskwie, nie pozna pan Wołgi i Dniepru; oddzielnie należy studyować mieszkańców miast, oddzielnie wieśniaków, — że nie wspomnę ²⁶⁾ o licznych nierosyanach, stanowiących nieledwie połowę ludności państwa. To dopiero część zakreszonego zadania, — pozostaje Polska.

— Tym razem głównie ona mnie nęci, bo specjalnie do Rosyi wybieram się z żoną na przyszły rok i, jeżeli nie stanie nic poważnego na przeszkodzie, doprowadzę zamiar do skutku. ²⁷⁾

— W Polsce podróżnik nie napotyka wprawdzie podobnej pstrokaczyny, ale różne części kraju noszą różny charakter na sobie. Mamy swe dawniej bardzo

lesiste Kujawy, mamy Łęczyckie, obfitujące w łąki, Podlasie pod lasami zabużańskimi, Opole²⁸⁾, opierające się od południo-wschodu o pola podolskie, mamy bujne niwy, piachy i trzęsawiska, chlubimy się rodzimą Szwajcaryą z uroczym Ojcowem, no i . . . Pacanowem i Łodzią. A co kraj — nowe właściwości: różnorodność składu duchowego i wyglądu mieszkańców, strojów, narzeczy, nawyknień, obrządków i zabobonów, źródeł zarobkowania razi nasze oczy i uszy. Znajdzie pan tu zgrabnych, dowcipnych, wesołych Krakowiaków w kierezyach z wyszywaniami i ogromnym kołnierzem, w pasie z kółkami i czerwonej czapce z pawiem piórkiem; przepadają oni za tańcem, muzyką i śpiewem²⁹⁾ . . .

— Czy to nie od nich rozchodzą się po całej Polsce śpiewki, znane pod nazwą „krakowiaków“?

— Tak jest. Ujrzy pan Mazurów, mówiących twardo, „po mazursku“, silnie zbudowanych, chętnych do pracy i walecznych, a obok tego tańczących zapamiętałe mazura.

— Widziałem raz na obrazku kilku Mazurów, — mieli na sobie ogromnie barwne ubranie.

— Noszą oni w dniu świąteczne granatową sukmanę z wyłogami i sznurkami koloru amarantowego, kamizelkę z sukna zielonego lub niebieskiego i czerwony albo żółty pas. Dalej, spotka pan zręcznych do wszystkiego Kujawiaków, odzianych w długie sukienne niebieskie kaftany o amarantowej poszewce z trzema rzędami świecących guzików; trudniących się bartnictwem, rolnictwem i przemysłem Kurpiów, wielkich zwolenników myśliwstwa, używających obuwia, plecionego z lipowego łyka i zwanego „kurpiami“; rolników Lublinian w koszulach, spinanych pod szyję, butach z podkówkami, kasztanowatej sukmanie i czapce z siwym barankiem; śniadych Podlasiaków o surowem spojrzeniu, których żony odznaczają się równą męczyznom wytrzymałością na trud, i tak dalej (itd.).

— Dlaczego pan odezwał się z takim przekąsem o Pacanowie i Łodzi?

— To „jasne, jak na dłoni“. Wjeżdżając do wspomnianych miast, zapominasz pan o tem, żeś w Polsce.

— A to dlaczego?

— W pierwszym — a jemu podobnych wyrosło u nas więcej — roi się od niechlujnych żydów; gdzie nigdzie jeno widać pomiędzy prawowiernymi synami Izraela polskiego chłopka w sukmanie albo strażnika.

— A Łódź?

— Tę znowu podróżujący może poniekąd wziąć za niemieckie fabryczne miasto, przeniesione na polski grunt. W Łodzi, naszpikowanej piętrzącemi się w nieładzie kominami licznych fabryk, słysząc po większej części niemiecką mowę: po niemiecku szczebioczą przybysze z zachodu, osiedli od lat w naszym kraju, — fabrykanci, technicy, majstrowie, robotnicy; niemieckim językiem posługują się prawowite dzieci Polski; niemiecki na ulicach, niemiecki w domach prywatnych, w sklepach, w teatrze . . . aż do obrzydzenia! Pojmuje pan, że podobna muzyka niezbyt mile łechce czysto polskie ucho.

— Niestety, nie mogę nie przyznać panu racji; lecz czemu przypisać podobny stan rzeczy? Wszak moi ziomkowie stanowią tylko małą część ludności łódzkiej.

— Dopiero w ostatnich latach przerzedziły się szeregi Niemców po tem, jak rząd począł wydalać obcokrajowców, a pomimo to nie brak ich i dzisiaj w Łodzi. Zresztą, liczni żydzi, zamieszkali w mieście, używają prawie wyłącznie niemieckiego języka w mowie i w piśmie.

— Kiedy miały miejsce wydalenia?

— Zapewne pan sobie przypomina rozporządzenie, wyszłe w tysiąc osiemset dziewięćdziesiątym pierwszym roku (1891 r.): części przybyszów nakazano opuścić granice państwa, pozostała zaś resztkę zobowiązano do nauczania się polskiego lub rosyjskiego. Może też miasto po jakimś czasie zmieni uporczywie pielęgnowany przez mieszkańców charakter. Wracając do pańskiej podróży, mam zamiar zrobić panu pewną propozycję.

— Cóżby takiego? Słucham w skupieniu ducha.

— Ot, zabrać go z sobą i pokazać, co godne u nas widzenia.

— Ależ, łaskawy panie, . . . zbytek grzeczności . . naraża się pan tylko na wielką subiekcyę . . .

— Ani trochę. Stałe miejsce mego pobytu, a zarazem cel główny pańskiej podróży — to Warszawa. Muszę jednak odwiedzić w krótkim czasie na parę dni swe dobra, a może nawet pokreć się dłuższy czas po prowincyi.

— Ledwie mię pan zna . . .

— Nasza znajomość trwa dopiero od wczoraj, — to prawda, ale nazwisko pańskie było mi uprzednio nie obce. Zresztą, już po niewielu chwilach, spędzonych wspólnie, gawędzimy, jak starzy znajomi. Więc, proszę, nie ociągaj się pan i nie krępuj żadnemi względami.

— Serdeczne dzięki, — podbił mnie pan zupełnie, i przyjmuję z głęboką wdzięcznością.

— Tak to lubię, — zatem zgoda! A teraz poradzę panu iść za moim przykładem, podłożyć sobie pleć pod głowę i przymknąć powieki. Nieprzespana noc poczyną dawać mi się we znaki.³⁰⁾

— Dziękuję, nie jestem zupełnie śpiący. Wyzyskam czas i rzucę okiem³¹⁾ przez okno na okolice, przez które przejeżdżamy. Monotonne one, ale w każdym razie nie pozbawione dla mnie uroku nowości. A panu dobrodziejowi³²⁾ — słodkiej drzemki³³⁾!

4. Przyjazd do Warszawy.

— Nad wyraz¹⁷⁾ mi było nieprzyjemnie przerwać panu smaczny sen, ale, sądząc z zachowania się pasażerów i świstu lokomotywy, jesteśmy u kresu podróży.

— Spałem chyba z godzinę³⁴⁾?

— Za jedną rękę.

— Spójrzysz pan, co za charakterystyczny widok: jedni zdejmują z siebie wierzchnie podróżne ubranie, by się przyodziać po miejsku; drudzy prostują członki po przebytych znojach i uśmiechają się sami do siebie . . . może na myśl o czekającym na nich wygodnem posłaniu w domu; tam znowu panie puszczają w ruch lusterka i grzebyki; a wszyscy wyciągają z pod ławek

i zdejmują z siatek całe stosy waliz, pasków, pudełek, pledów i koszyków.

— Gdzie damy w podróży, tam zawsze góry pakunków i pakuneczków. A oto i miasto, w każdym razie przedsmak miasta: po obu stronach toru stoją murowane domy i sterczą kominy.

— Tak, ma pan rację, — to warsztaty kolei Warszawsko-Wiedeńskiej. Za pięć minut staniemy na miejscu.

— Za pięć minut zatem będziemy zmuszeni rozłączyć się na pewien czas. W jakim hotelu radzi mi pan stanąć?

— Rozłączyć się . . . stanąć w hotelu . . . A to co nowego? Do czego panu hotel?

— Jakto, do czego? Nie mogę zamieszkać na dworcu, a nie myślę przejechać tylko przez Warszawę.

— Więc pan zrywa umowę!? Urządza rokosz?

— Jaką umowę? Ja — rokosz!?

— Czyż pan nie przystał na to, bym go zabrał z sobą?

— Tak, ale, wyznam, rozumiałem pod pańskimi słowami, że zechce mnie pan oprowadzić po mieście, a następnie pojechać razem ze mną na prowincję. To wszystko, a już wiele.

— Żart na stronę, — jam rozumiał dosłownie: zabiorę pana z sobą, no, oczywiście — do siebie, wprost do swego domu.

— Do pana!? Ależ to niemożliwe . . . taki ambaras! . . . A przytem, co powie małżonka pańska! Od razu ni stąd ni zowąd³⁵⁾ mam „spaść jej na głowę“³⁶⁾? . . .

— Zmiłuj się pan, co za ceregiele! Tam, gdzieśmy ulokowali wygodnie jedenaście osób, znajdziemy miejsce i dla dwunastej. Przeciwnie, my panu będziemy wdzięczni za tak przyjemne towarzystwo.

— Wistocie, nie wiem, jak panu dziękować. Nie śmiem więcej wypraszać się od gościny u państwa, choć trapi mnie myśl, że będę im tylko zawadą. Pan ma, jak słyszę, domowników bez liku.

— A no, nie brak, „chwalić Boga“²⁾: żona, ja, sześcioro dzieci — trzech chłopców i trzy dziewczynki,

— następnie teściowa. Dolicz pan do tych osób francuzkę i guwernera, a otrzymasz liczbę, o której wspominałem, to jest (t. j.) jedenaście.

— Zapewne rodzina będzie oczekiwała pana na stacyi?

— Telegrafowałem z drogi i liczę na to, że wyjdą mi na spotkanie. Działwa ma dzisiaj jedno z licznych świąt w szkołach. Ot, ma pan już jednego wisusa na stopniach wagonu . . .

— Tatko, tatunio przyjechał!

— Chodź, chodź, ty, sowizdrzale, niechaj cię uściśkam i obejrzę. Gdzie reszta, mama?

— Zaraz, tatku, przyjdą; poszli szukać do innych wagonów. O, Tadek już biegnie, a za nim Wandzia i Jadzia . . .

— Jak się macie ³⁷⁾, moje robaczki? Nie widzę Lutka, ani Zochny, — gdzie mama? . . .

— Mama, papo . . . mamunia . . . Lutek . . . obiad . . . daj mówić . . . nie przerywaj . . .

— Nie wszyscy naraz, nic was nie rozumiem! Tadeziu, odpowiedz ty na pytania.

— Mama została, żeby przygotować obiad, a Lutek siedzi za karę w domu.

— Znowu coś zbroił?

— Przyniósł wczoraj dwójkę z kaligrafii.

— A Zochna?

— Zochna trochę niezdrowa, zepsuła sobie żołądek.

— Czy aby tylko nic poważnego?

— Nie.

— No, dobrze. Wybacz pan, żem zapomniał o nim na chwilę; moje ojcowskie uczucia tłómaczą mnie. Ma pan tu część czeladki ³⁸⁾, z którą się wkrótce zapozna bliżej.

— Tuszę sobie, że będziemy dobrymi przyjaciółmi.

— A teraz do domu. Czyście zapamiętali, dzieci, numer tragarza?

— Tak, tatku, dziewiątka.

— Czemeście przyjechali?

— Powozem.

— Więc panny pojedą z nami, a wy, chłopcy, oddajcie kwit od rzeczy drugiemu tragarzowi, zabierzcie

następnie bagaż i wracajcie czem prędzej³⁹⁾ do domu dorożką. Weź zaraz numer dorożkarza od stójkowego.

— Za kwadrans będziemy w domu.

— Stach! A to spotkanie!

— Skąd to?

— Z Ęms; posłali mnie doktorzy.

— Długoś bawił?

— Przeszło pięć tygodni. No, bywaj mi zdrów⁴⁰⁾, a zajdź wkrótce, śpieszę do domu.

— Do widzenia, a oddaj ukłon małżonce!

— Jak się masz³⁷⁾, Piotrze?

— Dziękuję, proszę łaski pana⁴¹⁾; żyje człowiek „jako tako”.⁴²⁾

— Cóż, w domu wszystko w porządku?

— A juści⁴³⁾, proszę wielmożnego pana.⁴¹⁾

— Proszę, wsiadaj pan. Wandziu, zajmij miejsce obok pana P., a my pomieścimy się na tylnym siedzeniu. Nie widzę tragarza z pakunkami. Dziewiątka!

— Jestem, jaśnie panie.⁴⁴⁾ Ścisk taki, że człowiek ledwo stapa.

— Ileśmy mieli pakunków w wagonie?

— Pańskich trzy sztuki i moich cztery.

— Czy wszystko zabrane?

— Wszystko, jaśnie panie.

— Oddajcie walizki na kozioł, a resztę nam do powozu. Ruszaj⁴⁵⁾, Piotrze!

5. Przywitanie w domu.

— Nareszcie! Myślałam, że się twego powrotu nie doczekam, — ty, niedobry! Liczyłam każdą minutę na zegarze.

— Pozwól sobie przedstawić naszego gościa, pana P.

— Bardzo mi przyjemnie. Proszę, — „czem chata bogata, tem rada”.

— Małżonek pani był łaskaw zająć się w tak serdeczny sposób moją osobą, żem musiał rad nierad złożyć broń w jego ręce. Pani dobrodziejka³²⁾ zechce

mi z góry przebaczyć za kłopot, jaki jej mimowoli sprawię.

— Ależ, proszę z całego serca! Trwoga mnie tylko ogarnia na myśl, czy panu będzie u nas dosyć wygodnie. Pokój stoi prawie na pogotowiu.

— Pozwoli pan, że go przedstawię swej matce.
Pan P.

— Jakże, bardzoś tęskniła za starym?

— Zawieruszyli się panowie w drodze. Już blisko sześć tygodni, jakeś wyruszył z domu.

— Bo widzisz, duszko, jak raz człowiek wpadnie w ręce doktorskie, to go trzymają, niby kleszcze, i „ani rusz“⁴⁶⁾! Pisałem ci, że po upływie przepisanej pierwotnie czterotygodniowej kuracyi kazał mi miejscowy eskulap łać w siebie wody piąty tydzień. Następnie — podróż do Berlina, gdzie się zatrzymał dla porobienia sprawunków, zwiedzenie wystawy włoskiej, o której ci wspominałem w liście, — wszystko to pochłoneło znowu kilka dni.

— Jaką miałeś podróż?

— Jazda z Berlina do Warszawy była nader przyjemna, dzięki oto panu P.

— Proszę pani⁴¹⁾, pokój gotów.

— Dobrze, Maryanno. Pozwólcie, panowie.

— Który pokój wybrałaś?

— Gościenny na pierwszym piętrze; tam jest najwygodniej.

— Proszę, bądź pan, jak u siebie w domu, i powiedz, jeżeli zabraknie czego: pokój przyprowadzony naprędce do porządku.

— Ja nie marzyłem o podobnem pomieszczeniu przez cały czas pobytu na obczyźnie.

— Ot, łóżko pańskie, zwykle zaopatrzone w materac włosieny; ale, jeżeli nie będzie panu dosyć miękko, rzeknij słówko, a pokojówka przyniesie natychmiast piernat. Na pościeli nam nie zbywa. Dwie poduszki może wystarczą?

— Aż nadto, dziękuję panu!

— Czy pan sypia pod pierzyną, czy pod kołdrą?

— Pan rzeczywiście troszczy się za bardzo o moją osobę. Jestem niewybredny, śpię na tem, co znajduję.

Zresztą, mam z sobą całą pościel: kołdrę, jasiek, prześcieradła, powłoczki.

— W jakim celu wlecze pan to wszystko?

— Nie lubię spać na hotelowej bieliźnie, a nie spodziewałem się znaleźć w Warszawie podobnie miłe schronienie.

— Nie próbuj pan nawet rozpakowywać węzła z pościelą, — niechaj panu służy w dalszej pielgrzymce, w małomiasteczkowych hotelach, o ile godzi się ochrzcić podobnem mianem dziury zajezdne.

— Obym tylko u państwa nie za bardzo znie-
wieściał!

— Na umywalce znajdzie pan mydło, szczoteczkę i proszek do czyszczenia zębów, szczoteczkę do paznokci; w szufladzie — grzebień i szczotkę do włosów. Jeśli pan zechce czystej wody do mycia, wystarczy nacisnąć guzik dzwonka elektrycznego, a zaraz usłuży lokaj. Biórko wprowadzie nie najładniejsze, ale nadające się do pracy i zaopatrzone w przybory piśmienne. Znajdzie pan na niem pióra, stalki, ołówki, gumę, scyzoryk, papier, koperty, bibułę, lak, pieczętkę, marki pocztowe i inne niezbędne drobiazgi.

— Nie wiem, jak dziękować państwu za tyle troskliwości. Będzie mi tu niewątpliwie, jak w raju. Co to, nawet biblioteczka . . .

— A tak, i pozwolę sobie polecić ją szczególnie względem pańskim. Mieści ona zbiór dzieł naszych klasyków, oraz lepsze płody nowszej beletrystyki polskiej. Zerknij pan, proszę, od czasu do czasu do środka okładek, czy to w chwilach wolnych, spoczywając na sofce, czy przed pójściem spać. Te książki przyczynią się w niemałej mierze do osiągnięcia celu pańskiej podróży, mianowicie do poznania naszej Polski i braci polaków.⁴⁷⁾

— Nie omieszkać usłuchać rady. Jestem po prostu zachwycony swoim nowym państwem.

— Niezbyt ono rozległe.

— Ale wesołe, takie schludne. Każdy z otaczających sprzętów poczyną mi już być drogim.

— O pewnej rzeczy zapomniałaś.

— Coby to było takiego?

— Nie widzę lustra na ścianie.

— „Zapomniałam na śmierć“! Każę natychmiast zawiesić. Pan zapewne się goli codziennie, a do tej czynności niezbędne stojące lustro.

— Mam własne w neseserze.

— Czy pan czyta w łóżku?

— Niestety tak. Wiem, że to szkodliwe przyzwyczajenie, ale trudno! Stało się ono moją drugą naturą.

— W takim razie powiem Walentemu, żeby postawił przed łóżkiem większy stolik nocny z lichtarzem i popielniczką.

— A teraz zostawiamy pana na chwilę samego; zapewne zechce się pan umyć i przebrać z podróży. Z obiadem czekamy za pół godziny.

— Jeszcze raz — serdeczne dzięki.

6. Życie domowe: obiad.

— Dzieci, nie robić hałasu, spokojnie na swoje miejsca! Skaranie boże!⁴⁸⁾ Przyjrzyj się pan tylko, — istne żywe srebro!

— Młodość ma swoje prawa.

— Jeśli nie będzie natychmiast cicho, nie dostaniecie prezentów, jakie przywiozłem. Przy stole, gdzie są starsi, powinniście siedzieć, jak trusie. Jakiej pan pozwoli wódeczki, słodkiej⁴⁹⁾, czy czystej?

— Poproszę o czystą. Znam ją zaledwie ze słyszenia, jak wielu cudzoziemców. Znajomość polskiego i rosyjskiego języka krzewi się u nas dotychczas w słabym stopniu — poza sferami wojskowymi i w części handlowymi —, ale o ucho prawie każdego Niemca obito się⁵⁰⁾ niejednokrotnie słowo „wótki“, jak je u nas wymawiają. Podobno jeden z gorzelników rosyjskich — czy nie Koszelew? — założył filię w Berlinie, jednak nie trafiło mi się po dziś dzień skosztować rosyjskiego nektaru. Za zdrowie pań! Panie nie piją?

— Nie, przygrywkę do obiadu muszą panowie sami wykonać. Może kanapkę?

— W pańskie ręce!

— Wyśmienita zupa. Dużo słyszałem o polskiej kuchni, ale rzeczywistość prześciga wieści. Czy zupa nie z buraków?

— Zgadł pan, z buraków i zaprawiana śmietaną; u nas nazywają tę zupę barszczem.

— Ot i najmłodsza latorośl naszej rodziny, Zochna. Walenty, podejdź do pana z wazą.

— Czy dobrze spało dziecko, Kasiu?

— Dobrze, proszę pani ⁴¹⁾, ale musiałam przez cały czas kołysać Zochnę i śpiewać jej do snu, bo inaczej budziła się.

— Podejdź bliżej, chcę jej podwiązać śliniaczek.

— W jakim wieku jest dziecko?

— Cała z niej pannica: już ząbkuje i odstawiona od piersi. ⁵¹⁾ Na Świętego (Ś^{go}) Michała skończy rok.

— Walenty, podawaj dalej. — Woli pan sandacza z jajkiem, czy też nadziewaną rybę?

— Sprobuje pierwszego.

— Proszę, weź pan masła z sosierki. — Wandziu, rozdaj tam dzieciom.

— Jaki z Lutka niezgrabiasz! Miejsce na obrusie, zajmowane przez jego nakrycie, jest już chronicznie upstrzone plamami.

— Jak widzę, pani matkuje trochę młodszemu rodzeństwu.

— Od czasu ukończenia pensyi usiłuję według możliwości wyręczać mamę, i dzielnie dopomaga mi w tej pracy babcia i M^{lle} Josephine. Właściwie one wszystko robią.

— No, no, tylko nam nie kadź.

— Sprzątnij, Walenty, półmisek ze stołu.

— Pan nic nie pije, a ryba musi przecież w czymś pływać. Białego wina, czy czerwonego ⁵²⁾?

— Proszę o białe. Czy to francuskie wino? Przyjemne w smaku.

— Francuskie. Mamy tu w Polsce i rosyjskie — krymskie i kaukaskie, ale nie dorównywają one francuskim. A ja, panie, lubię albo wypić coś dobrego, albo zupełnie spasować.

— Jak panu smakuje indyczka?

— Rozpływa się w ustach.

— Proszę, weź pan na talerzyk trochę kompotu z salaterki. Tu są wiśnie, a tam melon.

— Podziękuj tatce i panu P. za to, że jesz krem; gdyby nie oni, wymierzyłabym święcie zasłużoną karę.

— Czy już po obiedzie, mamó?

— Możecie wstać od stołu. — Przejdźmy teraz do gabinetu męża na kawę z likierem. Panowie będą mogli zarazem pograć się w dymie cygar i papierosów.

— Muszę oddać pełne uznanie polskiej kuchni, o ile jej wytwory i w innych domach łąchcą tak podniebienie, jak u państwa.

— To zależy od domu; wogóle gotują u nas smacznie.

— Jak tu jest w Warszawie z dostawą zapasów żywności?

— Stoimy na tym punkcie o wiele wstecz poza wielkimi zachodnimi miastami. Po wszystko prawie każda gospodyni albo kucharka musi chodzić do miasta.

— Czy kupcy nie przysyłają do domu?

— Rzadko; podobne udogodnienia przyjęły się u nas słabo.

— Jak wyjdziemy na ulicę, zauważy pan co krok przechodniów, szczególnie damy, z mniejszemi i większemi paczkami w ręku i pod pachą.

— Przynoszą mi stale do domu nie wiele artykułów: naftę, pieczywo i nabiał. Codziennie przyjeżdża kolonista z pod Warszawy i dostarcza mleko i śmietankę, a raz w tygodniu — masło, ser i jajka, niekiedy co z drobiu.

— Dlaczego państwo nie każą przysyłać sobie nabiału z własnych posiadłości?

— Niestety, dobra leżą za daleko, bo aż na austriackiej granicy, i tylko co pewien czas⁵³⁾ ekonom zaopatruje nam spiżarnię.

— Gdzie pani kupuje resztę materiałów spożywczych?

— Posyłam codziennie kucharkę na targ po mięso, warzywo, włoszczyznę, ryby i co potrzeba do obiadu. A w piątek chodzę z nią sama.

— Po specjalne zakupy?

— Tak; w ten dzień zjeżdżają się okoliczni chłopci i koloniści z wiejskimi produktami. Dostać u nich wszystko świeże i taniej, niż u miejskich przekupniów, sprzedających z drugiej albo trzeciej ręki.

— Pokażę panu kiedy piątkowy targ za Żelazną Bramą albo na Grzybowie⁵⁴⁾; tak jest natłoczony chłopskimi furmankami, że ledwo przejść z jednego chodnika na drugi. Wielu kolonistów, mieszkających dalej od miasta, przyjeżdża już we czwartek ku wieczorowi na posterunki i wyczekuje ranka.

— Czy oglądała pani w Berlinie hale targowe?

— Co za kolosalna różnica! Tam panuje czystość i ład, dostęp do nich przed obiadem i po południu, u nas — brudy i tłok nie do opisania. Może i lepiej wobec tego, że z wybiciem dwunastej koniec całej wrzawy.

— Niedogodne urządzenie dla gosposi w razie zapomnienia czego, albo otrzymania nieprzewidzianych gości.

— Wtedy uciekamy się do sklepów i tych jatek, które stoją cały dzień otworem.

— Czy nie lepiej korzystać z nich stale?

— W sklepach zdzierają z kupujących w porównaniu z cenami targowymi, a każdy liczy się z groszem.⁵⁵⁾

— Proszę pana⁴¹⁾, przyszedł pan rządca.

— Poproś do gabinetu. — Przepraszam, za chwilę będę z powrotem.

— Prześladowuje mnie pewne pytanie od samego przyjazdu do Warszawy, a nie śmiem go wypowiedzieć.

— Cóżby to było takiego? Zaciekawia mnie pan. Proszę, zdobądź się na odwagę.⁵⁶⁾

— Ale upraszam z góry, by mi nie wzięto otwartości za złe. Zauważyłem zaraz na wstępie, że państwo tykają sługi, lokaja, dorożkarza i wogóle ludzi, zajmujących niższe stanowiska w hierarchii społecznej. Nie przypuszczam, by państwem kierowały w danym wypadku odrębne od ogółu zasady. Czy trzymacie się utartego zwyczaju?

— Ha, ha, stąd cała obawa? Bądź pan na przyszłość odważniejszy: śmiałym szczęście sprzyja. Wy-

jaśnie panu rzecz w kilku słowach: u nas stosunki pomiędzy chlebobawcami, a najmitami zachowały w sobie po dziś dzień ślady dawnej patryarchalności, i tykanie jest ogólnie przyjęte, — ba, służąca czułaby się sama nieswojsko⁵⁷⁾ przy przemawianiu do niej na „wy“, używanem prawie wyłącznie między młodymi ludźmi i w rozmowie z wiejską ludnością.

— Słyszałem w podróży, jak jeden z pasażerów odezwał się nawet do konduktora na „ty“. U nas takby zmyto głowę pankowi, że odeszłaby go raz na zawsze chętka do podobnych zachcianek! U nas służącej nie tykają, żebraka.

— Hardy naród!

— Bynajmniej, łaskawa pani, ale — ceniący godność ludzką. I w Polsce nie ostoi się zwyczaj tykania wobec ogólnego postępu, — chyba, że wszyscy bliźni będą się wzajemnie tykali, ale wtedy — wszyscy, bez wyjątku.

7. Ciąg dalszy: mieszkanie, gospodarstwo.

— Teraz pokażę panu mieszkanie.

— Jeśli sądzić z mnóstwa drzwi i korytarzy, jest ono nie małe.

— Musi pan wziąć pod uwagę, że i rodzina nasza liczna. Jedenaścioro domowników, oprócz służby, — to nie żarty.

— Dużo mają państwo pokoiów?

— Będzie tego z tuzin³⁴⁾, — sam nie jestem pewien. Możemy liczyć po drodze.

— Z całą chęcią.

— Zaczniemy od przedpokoju. To — wejście frontowe; drzwi na lewo prowadzą do mojego gabinetu, na prawo — do stołowego pokoju, a wprost nas — do salonu.

— Widzę w sali fortepian. Czy mają państwo w domu grających?

— Mamy, i może więcej nad możność słuchania ciągłych gam i pięciopalcówek. Córki grają na forte-

pianie, Tadeusz na wiolonczeli, Lutek zaczyna na skrzypcach.

— A średni?

— Jacek brał lekcyę na fortepianie, ale okazał brak słuchu i wszelkiego zamiłowania do muzyki. Więc „daliśmy za wygrane”.⁵⁸⁾

— Kolosalna sala; możnaby po niej jeździć powozem.

— Powozem, jak powozem, ale — zatańczyć, panie, siarczystego mazura. Po temu⁵⁹⁾ też urządzony pokój: oprócz fortepianu, kanapek i krzesełek nie wiele pan tu zauważa sprzętów. Jeden róg tylko pokoju zajęty kwiatami.

— Co za mnóstwo! A jak malowniczo ustawione i, widocznie, starannie pielęgnowane! Gdzie ogrodniczka tego zielonego zakątka?

— Tu dzierży berło niepodzielnie moja żona.

— Niektóre wspaniałe okazy, na przykład (n. p.), ta palma w porcelanowej doniczce albo oleander, sięgający wierzchołkiem pod sufit. Żardyniera po środku — istny bukiet. Małżonka pańska może śmiało stanąć do konkursu z zawodowym ogrodnikiem.

— Kwiaty — jej słaba strona, a i ja się w nich miłuję. Możemy iść dalej. Do salonu przylega salonik, w którym czerpią tchu na wieczorach znużeni tancerze, oraz gwarzy ciężka artylerya.⁶¹⁾

— Nie trudno poznać przeznaczenie pokoju: sofka, wygodne fotele, fotel na biegunach, kozetki — same zdają się napraszać spragnionym wypoczynku.

— Może dlatego przebywam tu najchętniej.

— Miękki dywan, ciężkie portyery, półmrok w pokoju potęgują jeszcze wrażenie. Z pana oczywiście miłośnik sztuki: już w salonie zauważyłem sporo malowideł i rzeźb, a ściany tego pokoju są niemi literalnie pokryte.

— Czy pan zna się na malarstwie?

— Trochę, jako amator. Już ciemno, i nie mogę dobrze rozejrzeć obrazów, ale widzę jeszcze na tyle, żeby poznać utwory pędzla niepośledniej wartości.

— Oko moje zawsze spoczywa z miłością na dobrem

płótnie, i skupuję je, o ile stać kieszeń na ⁶²⁾ podobny zbytek.

— Dokąd prowadzą tych dwoje drzwi?

— Do salki przylega z jednej strony buduar żony, z którego wejście do naszego sypialnego pokoju, a z drugiej stołowy. Ciasno tu trochę, jak zasiądzie do stołu kilkadziesiąt osób. Widzi pan też tylko niezbędne meble: kredens, stół, krzesła i stolik do samowaru. Tu — garderoba z kąpielą, a tam — schody kuchenne, prowadzące do suteryny.

— Gdzie się mieszczą teściowa pańska, oraz liczna dziatwa?

— Na pierwszym piętrze, dokąd prowadzą jedne schody z podwórza, drugie z korytarza.

— Można i tam zajrzeć?

— Tak, wszyscy wyszli na spacer. — Pierwszy pokój zajmuje teściowa, drugi — starsza córka, trzeci — Jadzia z guwernantką, czwarty — niańka z dzieckiem, piąty — starszy syn, szósty — dwaj młodsi z guwernerem, siódmy — gościnny, ósmy wreszcie służy za szkolny. To osobny światek, w którym młodzież pracuje i zbytkuje pod okiem guwenera albo francuzki.

— Od jak dawna panna Josephine jest u państwa? Wszyscy ją tu uważają za członka rodziny.

— Ba, ona była jeszcze nauczycielką mojej żony, a u nas zamieszkuje już przeszło od dziesięciu lat.

— Ciekawym urządzenia kuchni.

— Możemy zejść na dół do suteryny.

— Kuchnia obszerna i widna, choć trochę niska. Czy dobrze się gotuje?

— Zarówno na kominie, jak i w piecu wyśmienicie. Tu widzi pan wodociąg i zlew; oświetlenie gazowe. Za kuchnią leży kilka pokoiów dla służby i pralnia.

— Państwo piorą bieliznę w domu?

— Jak zwyczajną, tak i sztywną. Mamy dobrą praczkę na stałe ⁶³⁾, która, o ile nie stoi przy balii albo wyżymacze, zmywa talerze, noże, widelce, łyżki, pomaga kucharce przy szorowaniu statków kuchennych: garnków, rondli i patelni, i spełnia tym sposobem rolę tak zwanej (t. zw.) pomywaczki. Prasuje młodsza.

— Czy pan nie trzyma kucharza?

— Nie, to za drogi dygnitarz. Zresztą, pełno u nas kucharek, które zasługują w zupełności na miano „kucharzów w spódnicy“.

— Takie mieszkanie wymaga licznej służby.

— Będzie tego z siedmioro ³⁴⁾: kucharka, dwie pokojówki, niańka — dawna mamka Zochny — i praczka — to część kobieca; następnie — lokaj, oraz stangret i ogrodnik w jednej osobie.

— Cała armia, którą nie łatwo chyba dowodzić. I żona pańska może podolać tak ciężkiemu zadaniu?

— Pomaga jej w zarządzie domem M^{lle} Josephine, do której należy pranie, spiżarnia, przyrządzanie śniadania i kolacyi i nadzór nad służbą. To prawa ręka mojej żony w gospodarstwie. Teraz i Wanda ma swój wydział: opiekuje się młodszem rodzeństwem, wyprawia je z rana do szkół, wydaje czystą bieliznę i tak dalej (itd.). A przed takimi świętami, jak Boże Narodzenie, Wielkanoc lub Zielone Świątki, obchodzone w kraju bardzo uroczyście, cały dom zaprzęgają do pracy. Wtedy, panie, — tylko „nogi za pas“ ⁶⁴⁾ i zmykać, co sił ⁶⁵⁾! Istna Sodomia i Gomora!

— Ileż więc wszystkiego ⁶⁶⁾ naliczyliśmy pokojów?

— Zaraz. Na parterze — siedem, na piętrze — osiem, więc wszystkiego — piętnaście, oprócz korytarzów, przedpokoju, kuchni, pralni, pomieszczenia dla służby, stajni, wozowni, piwnic, góry i komórki do drzewa i węgla.

— Czy stajnia obszerna?

— Na cztery żłoby, ale trzymam tylko parę koni cugowych i jednego pod wierzch. ⁶⁷⁾

— Co pan płaci komornego za cały apartament?

— Dziś komornego — nic, ot, trochę podatków; zaś przez pierwsze dwa lata, do nabycia domu na własność, płaciłem trzy tysiące pięćset rubli (Rb. 3500) rocznie. To nie drogo na tutejsze ceny w podobnym punkcie miasta.

— Czy mieszkania wogóle są drogie w Warszawie?

— Mniej więcej w tym stopniu, co w Berlinie, — mam na myśli przeciętne mieszkania, a nie sklepy, cukiernie, kawiarnie i restauracye, za które komorne

w pańskim rodzimem mieście dosięga niekiedy sumnie do wiary.

— Zadowolony pan z swej obecnej siedziby?

— Zupełnie; odpowiada ona rozmiarami potrzebom mojej rodziny, jest sucha, położona bardzo ładnie, skanalizowana; w tyle domu mieści się mały ogródek.

— Wyznam szczerze, że mnie nadzwyczaj przypada mieszkanie do gustu.⁶⁸⁾

— Dowiedź nam pan swego zachwytu faktami i gość w niem jak najdłużej; i nam wyda się wtedy dom milszym i weselszym.

8. Policya, meldunki, paszporty.

— Dzień dobry.

— Jak pan spał przez noc?

— „Snem kamiennym.⁶⁹⁾ I nie dziw, — wytłukliśmy się do syta z małżonkiem pani w podróży.

— Czy nie przebudziły pana dzieci, wstając o szóstej (6-ej) rano?

— Bynajmniej. Dlaczegóż dziatwa zrywa się tak wcześnie na nogi?

— O dziewiątej (9-ej) muszą być już w szkołach, a przedtem pojechać na Pragę do kąpieli, wrócić do domu i zjeść śniadanie.

— Czy kąpią się na otwartej rzece?

— W łazienkach: chłopcy w omnibusie, panny — w koszyku.

— Dzień dobry gosposi; płonę ze wstydu przed panią, panno Wando, która od świtu już przy pracy, nie tak, jak ja, śpioch.

— Czego pan pozwoli? Herbaty z cytryną, z arakiem lub śmietanką, mleka przegotowanego albo prosto od krowy⁷⁰⁾, czy też kawy z kożuszkiem?

— Poproszę o tę ostatnią. Ślicznie dziękuję.

— Tu jest trochę wędliny, w masielniczce — masło, w koszyczku — pieczywo: chleb, bułki, rogaliki. Proszę, bądź pan, jak u siebie w domu.

— Trudno o to, u siebie nie znajduję, jak u państwa, czego dusza zapagnie.

— A teraz musimy zameldować pana, bo z naszą policją nie żarty. Około jedenastej (11-ej) przyjdzie rewirowy i, jak się dowie od stróża, że pan bawi u nas od wczoraj, gotów uderzyć na alarm, tem bardziej, że nowoprzybyły jest zagranicznym poddanym.

— Co za pośpiech!?

— Nasza policja przestrzega bacznie, by nikt nie zatrzymywał się w mieście, ani opuszczał takowego bez jej wiedzy; w razie wykrycia czy to niezameldowanej osoby, czy to przewłóczenia formalności, winnych pociągają niezwłocznie do odpowiedzialności.

— Czy przepisy stosują się nawet do tutejszych poddanych?

— Bezwarunkowo. Jeśli który z nas pragnie pojechać do Rosyi, a nawet odbyć podróż dla przyjemności albo w interesie po Królestwie, musi otrzymać od policji paszport krajowy. Chrześcijanie mogą na mocy jego jeździć po całym państwie, żydzi — wyjąwszy te miejscowości, w których pobyt izraelitom jest wzbroniony, o ile nie posiadają uniwersyteckiego wykształcenia lub świadectwa kupieckiego pierwszej (I-ej) gildy.

— Dziwne ograniczenie.

— Nie brak odnośnej uwagi na paszportach, wydawanych żydom; wyliczone są tam miejscowości, w których nie wolno im przebywać.

— U nas zupełnie inaczej. Wobec takich porządków chciałbym nie zwlekać.

— Nie przerażaj się pan. Policja nasza w samej rzeczy ⁷¹⁾ wogóle nie lubi żartować, ale . . . ludźmi jesteśmy tylko, więc . . . „jak się da, to się robi.“ ⁷²⁾ Za srebrne, a nawet miedziane podziękowanie przymruża ona od czasu do czasu oczy na opóźnienia, przyspiesza wydanie urzędowych papierów, zatuszowuje wiele sprawek i tak dalej (itd.).

— Więc co począć?

— Co do ¹⁰⁾ pańskiego meldunku, formalności są następujące: paszport odbiera rządca i zapisuje nowoprzyjezdnego do księgi niestałych mieszkańców War-

szawy; następnie należy się udać do cyrkułu danej części miasta i wykupić tak zwaną (t. zw.) kartę pobytu, kosztującą łącznie z markami stemplowemi pięćdziesiąt kopiejek (50 kop.).

— Mam iść zatem do cyrkułu?

— „Mniejsza o to“ ⁷³⁾, — wszystko załatwi rządca, ponieważ osobiste zjawienie się nowoprzybyłego nie jest koniecznem.

— Pozwoli pan, że mu zadam jeszcze jedno pytanie. Na jak długo służy karta pobytu?

— Na trzy miesiące, po upływie których trzeba w razie dalszego pozostania w mieście odnowić kartę. Przy pobycie dłuższym nad sześć miesięcy, wykupuje pan „wid“, kosztujący sześćdziesiąt kopiejek (60 kop.) na cały rok.

— Jestem bardzo obowiązany panu za oszczędzenie mi zachodów. Nie lubię włożyć się po biurach policyjnych w Niemczech, a w kraju obcym tem bardziej. Opowiadania pańskie zainteresowały mnie więcej, niż pan przypuszcza. Przeczuwam, na jaką fatygę są wystawieni rosyjscy poddani, pragnący pojechać za granicę, jeśli narażeni są nawet w podróżowaniu po kraju na tyle zabiegów.

— Nie tak to dawne czasy, kiedy w Rosyi pozwalano wybrańcom jeno fortuny opuszczać granice państwa. Jeszcze w pierwszej połowie bieżącego stulecia otrzymanie zagranicznego paszportu było połączone z wielkimi trudnościami; były czasy, kiedy wcale nie wydawano bez ważnego powodu podróży. Dziś nastały inne czasy, i wyjeżdża, kto chce i . . . może.

— Na chcących, przypuszczam, nie zbywa.

— Tak, tak, — lecz same chęci nie wystarczają, a koszt podróży i wydostania paszportu pochłaniają masę pieniędzy.

— Pana bo wciąż się żarty trzymają. ⁷⁴⁾ Tego, kto ma na bilet jazdy, nie powstrzyma wydatek kilkunastu lub kilkudziesięciu kopiejek na paszport!

— Jeżeli pan powie: na marki stemplowe, naklejane na prośbie o paszport, — to ma pan słuszną rację. Sam szpargał, upoważniający do wyjazdu za granicę, kosztuje nie kilkanaście kopiejek, a kilkanaście rubli.

— Co takiego!?

— Mówię zupełnie seryo. Zwykle wydaje policya półroczny paszport, pobierając zań piętnaście rubli. Doliczywszy do powyższych dwa do trzech, które się rozchodzą na marki i nieuniknione drobne wydatki, otrzymamy ładną sumkę siedemnastu do osiemnastu rubli. Zatem rocznie przeszło trzydzieści.

— Czy prawo obowiązuje do odnawiania co pół roku paszportu przy dłuższym pobycie za granicą?

— Nie, wolno przebywać do pięciu lat, ale po powrocie do kraju skarb ściągą należność za cały czas przetrzymania paszportu, więc za rok — trzydzieści rubli, za trzy — dziewięćdziesiąt, za półpięta — sto trzydzieści pięć. Taka kwota — nie fraszki i dla ludzi zamożnych. Pomyśl pan dopiero, jak ciężko ją uiszczać wielu młodzieńcom, którzy jadą na zachód z żądzą nauki i otuchą w sercu, a pustkami w kieszeni! Ilu z nich powstrzymuje widmo haraczu paszportowego od odwiedzania rodziny, krewnych i przyjaciół podczas wakacyi! Bo, jeśli który zawita raz do kraju, nie puszczą go legalnie z powrotem do zachodnich skarbnic wiedzy, dopóki nie umorzy w całości długu za przetrzymany paszport i nie wyszpera papierków¹⁶⁾ na nowy.

— Wistocie, ciężkie warunki.

— My tu gwarzymy, podczas gdy nazewnątrz miasto wre życiem, skąpane w promieniach skwarne słońca. Dość marynowaliśmy się w wagonach i w domu, wylegnijmy trochę na ulice dla ujrzenia oblicza syreniego grodu. Może i niezbyt zachwyci ono pana, ale czego nie sprawia mury, wywołają mieszkańcy.

— Czekałem tylko na pańskie wezwanie.

9. Spacer po mieście.

— Stoimy na rozdrożu; w którą stronę skrócić?

— Naturalnie, na prawo, by wyjść jak najprędzej na Nowy-Świat i Krakowskie-Przedmieście, nasze Lipy i Frydrychówkę⁷⁵⁾ zarazem. Tu się odbywa

w dniu pogodne przez wszystkie cztery pory roku defilada spacerowiczów w południe. Paradują studenci i oficerowie w uniformach „prosto z igły“⁷⁶⁾, panny, odbywające zwykłą przechadzkę pod okiem opiekuńczem francuzek i angiielek, strojnisię, ubrane podług najświeższej mody, szykowne kokoty, jednym słowem — świat i półświata, nie mający bynajmniej powodu do uskarżania się przed Panem Bogiem na brak czasu.

— Ulica musi przedstawiać o tej porze ciekawy widok.

— Zwlekałem z wyjściem z domu, by wprowadzić pana od razu w sam wir życia ulicznego dystyngowanego. Najwięcej ożywione te ulice na wiosnę, kiedy już można wychodzić na przechadzki, a jeszcze za wcześnie na siedzenie w ogrodzie lub wyjazd na letnie mieszkanie i do wód.

— Powziął pan bardzo szczęśliwą myśl. Jeżeli dalsze wrażenia, otrzymywane w Warszawie, nie będą ustępowały obecnemu, trudno mi będzie rozstać się z miastem. Co za szyk, co za elegancja! Jakie smukłe postacie, i ponętne buziaki, a zalotne, szelmy! Nóżki, jak na pokaz!⁷⁷⁾ Tego pan u nas nie widzi.

— Radzę panu „zamknąć serce na dziesięć spustów“, inaczej zakradnie się weń za prędko jaka warszawianka.

— Co to za jedni, ci umundurowani chłopcy?

— Gimnazyści, zwani w warszawskim żargonie sztubakami, a tamten — student uniwersytetu.

— Elegancki powóz!

— Myli się pan, — to zwyczajna dorożka.

— Ja mówię o powozie na gumowych kołach, który mknie w tej chwili przed nami, jak strzała.

— Właśnie, — to dorożka warszawska.

— Ależ u nas, panie, nie wiele widać tak eleganckich prywatnych pojazdów . . .

— Na szyku naszemu miastu nie zbywa; bije on zewsząd w oczy. Weź pan, na przykład (n. p.) dorożki. Jednokonne, czyli dorożki drugiej klasy prezentują się nie najokazalej, a mogą śmiało rywalizować o palmę pierwszeństwa z berlińskimi landarami; zaś okaz parokonnej widział pan, no, i podziwiał przed chwilą.

W niektórych z nich połączana tylko młodzież⁷⁸⁾ wygląda nie gorzej od szczerozłotej, rozbijającej się po mieście w wielkopańskich pojazdach. Gumowe koła u nas — rzecz powszednia; spotka pan nawet wiele jednokonek na gumach.

— Co to za budynek?

— To dawniej pałac Zamojskich, skonfiskowany po zamachu na namiestnika hrabiego (hr.) Berga, wykonanym z okna pałacowego w pamiętnym tysiąc osiemset sześćdziesiątym trzecim (1863) roku. Obecnie dom należy do władzy wojskowej i mieści w oficynie klub rosyjski. Naprzeciwno — pierwsze gimnazjum męskie, zwane rosyjskiem. Teraz wkraczamy na Krakowskie-Przedmieście.

— Bardzo ładny pomnik. Zapewne jakiego sławnego astronoma?

— Kopernika, tego luminarza nauki, którego wyrywają sobie wzajemnie polacy i Niemcy. Pomnik, wykonany kosztem narodu w tysiąc osiemset dwudziestym drugim (1822) roku podług modelu Thorwaldsena, jest jedną z artystycznych ozdób miasta. Podstawę nową z granitu ustawiono rok temu.

— Przed kim to uchylają kapelusza przechodnie?

— Poczekaj pan, i jego, jako katolika, — chyba tak? — nie minie zdjęcie cylindra.

— Ach, przed kościołem! Zresztą, jestem ewangelikiem.

— Ma pan przed sobą jedną z większych świątyń w Warszawie, kościół Świętego (Ś^{go}) Krzyża, zbudowany jeszcze za czasów króla Jana Sobieskiego. Warto go zwiedzić; szczególnie piękny jest wielki ołtarz.

— Możebyśmy weszli na chwilę?

— Niestety, kościół zamknięty, bo o tej porze nie odprawiają nabożeństwa ani mszy, wyjąwszy wyprawianie zwłok. Widzi pan na podwyższeniu figurę Pana Jezusa, dźwigającego krzyż?

— Widzę. Cóż w niej szczególnego?

— Właściwie nie wiele. Ale nasi dowcipnisie, „przypinający łatkę“⁷⁹⁾, komu się da, wyzyskali ruch ręki Chrystusa, skierowanej na prawo. Po drugiej stronie ulicy widnieje restauracja Kazimierówka. Otóż

Chrystus, jakoby wskazywał na nią i chciał powiedzieć „tam szukajcie zbawienia“!

— Co za pałac mijamy teraz?

— Hrabiego (Hr.) Ludwika Krasińskiego, jednego z krezusów krajowych. W sąsiednim domu mieści się cukiernia Toura, tradycyjny punkt zborny studentów, a naprzeciwko — uniwersytet.

— Za żelaznemi sztachetami?

— Tak jest. Siedziba to niegdyś króla Jana Kazimierza.

— Podobno biblioteka uniwersytecka posiada bardzo bogate zbiory.

— Posiadała kiedyś; wielką część ich przewieziono do Petersburga u schyłku przeszłego stulecia w czasie rozbiorów Polski; następnie, po zakłmieniu uniwersytetu w roku tysiąc osiemset trzydziestym drugim (1832), gdy go zamieniono na Szkołę Główną. Pozostałe resztki wraz z nowemi nabytkami są dosyć mierne.

— Czy mi się zdaje, czy też rzeczywiście grunt, zajmowany przez uniwersytet, tworzy spadek?

— Słuszna uwaga. Zbliżamy się ku Wiśle, leżącej poniżej miasta, w tyle uniwersytetu. Musimy jednak zawrócić, by odbyć do obiadu zamierzoną marszrutę.

— Idę ślepo za panem, choćby na skraj świata.

— Tak daleko na szczęście Warszawa nie sięga.

— Znowu kościół?

— Cierpliwości, cierpliwości, doczeka się pan ich więcej. Nasz ludek jest bardzo bogobojny i w niedziele i święta zapełnia po brzegi liczne świątynie. Na samem Krakowskiem-Przedmieściu naliczyć można cztery kościoły, wszystkie zabytki czasów ubiegłych. Niektóre z nich, jak Świętej (Ś^{ej}) Anny — to dawne klasztory. Do kościołów będziemy chodzili w niedziele; wiele z nich bardzo godnych widzenia, przede wszystkim katedra Świętego (Ś^{go}) Jana w stylu gotyckim, sięgająca trzynastego (XIII-go) stulecia. Do kościoła, przed którym stoimy w tej chwili, przymyka szóste (6^{te}) męskie i trzecie (3^{cie}) żeńskie gimnazjum.

— Żeńskie gimnazjum, i do tego w jednym domu z męskim?

— Dziwi pana, obywatela Niemiec, że u nas egzystują żeńskie gimnazya? Na tym punkcie prześcignęliśmy was. Lecz o tem potem, gdy będziemy gawędzili wygodnie w domu. Przyjrzyj się pan największemu hotelowi w Warszawie o dwustu pięćdziesięciu (250-ciu) numerach.

— Jaki to hotel?

— Europejski. Urządzony jest zupełnie na wzór wielkich zachodnio-europejskich hotelów, z komfortem, wszelkimi wygodami, wykwinną i smaczną kuchnią.

— Spoglądam nań zupełnie bez żalu po znalezieniu tak miłej gościny.

— Czy pan nie czuje zmęczenia? Możemy wejść na chwilę do Loursa.

— A to kto taki?

— Właściciel cukierni w hotelu Europejskim, najprzedniejszej w mieście.

— Zgoda.

— Co panowie rozkażą?

— Dla pana?

— Herbatę.

— Dwie herbaty i ciastek.⁴⁹⁾

— Deserowych czy drożdżowych? Może babkę?

— Przynieś deserowych.⁴⁹⁾ Też „Berliner Tageblatt“. Wyczyta pan, co słyhać w jego ojczyźnie.

— Dlaczego pan obstalował „Berliner Tageblatt“? Wyznam, że jest mi on jedną z mniej sympatycznych gazet naszych.

— Ale jedną z niewielu niemieckich, sankcyonowanych w Rosyi przez komitet cenzury.

— Bardzo ładna cukiernia, a ciastka wyśmienite.

— Garson, co się należy⁷⁾?

— Sześćdziesiąt (60) kopiejek.

* * *

— Czy pan wołał dorożkę?

— Gdzietam! Dorożkarze urządzają z własnej inicjatywy wyścigi pomiędzy sobą. Jak tylko wyjdzie kto z cukierni, zaraz podjeżdżają, ofiarowując usługi. Chciałem panu pokazać Plac Saski, ale od czasu rozpoczęcia budowy soboru ani się do niego przedostać.

— Dokąd skierujemy nasze kroki wobec tego?

— Najprzód przejdziemy Krakowskie-Przedmieście wzdłuż. Obejrzymy pałac Namiestnikowski, zbudowany przez księcia (ks.) Karola Radziwiłła z niebywałym dla Warszawy w osiemnastym (XVIII-ym) wieku przepychem. Niestety, jak wiele, wiele innych, tak i ta pamiątka po przodkach zachowała zaledwie ślady swej starej świetności. Dawne pałace są dzisiaj pomieszczeniem dla różnych biur rządowych i dla wojska. Od ulicy ustawiono pomnik byłego namiestnika księcia (ks.) Paszkiewicza. Będziemy przechodzili około pałacu Potockich, mieszczącego w oficynie wystawę obrazów, około Towarzystwa Dobroczynności, Resursy Obywatelskiej, miejsca najdystyngowniejszych tańczących zabaw publicznych w karnawale.

— Czy starczy nam czasu na zwiedzenie wszystkich tych osobliwości?

— Dzisiaj obejrzymy tylko pobieżnie, zostawiając sobie szczegóły na później. Przed nami wznosi się pomnik Zygmunta Trzeciego (III), po prawej stronie królewski pałac Zamkowy; mieszka tam generał-gubernator. Postępując dalej, wkroczylibyśmy w Stare Miasto, słusznie zwane starem. Pominiemy teraz w naszej przechadzce i tę dzielnicę o wąziutkich krętych uliczkach i domach o starożytnych polskich herbach i innych godłach nad wrotami, a skrećimy na Senatorską.

— Ostrożnie, bo przejadą pana!

— Na lewo stoi pałac Prymasowski — dawna siedziba możnowładnych prymasów gnieźnieńskich, którzy grali tak wielką rolę w historii kraju. Gdzie ongi rezydowały pierwsze po królu osoby, dzisiaj stąpają żołnierze.

— Ruch na Senatorskiej nie ustępuje w zupełności temu, jakiśmy dopiero co mieli wokoło siebie.

— — Zawdzięcza ona to wielu pierwszorzędnym sklepom, oraz swemu położeniu między ożywionym Placem Teatralnym, a Krakowskiem-Przedmieściem; przyczynia się też do powiększenia ruchu bliskość Sądu Okręgowego na Miodowej i Izby Sądowej⁸⁰⁾ na Placu Krasińskich. Nareszcie dotarliśmy do Placu Teatralnego!

— Zakasował wszystko, cośmy dotychczas widzieli.

— Bo też to najładniejszy punkt Warszawy wogóle. Przyjrzyj się pan, proszę, z jednej strony ogromnemu ratuszowi, zbudowanemu nie bez smaku, z drugiej — Teatrowi Wielkiemu i Rozmaitości.⁸¹⁾ Kłaby i fontanna po środku podnoszą urok miejsca.

— Do czego służą dwie kule na wieży ratuszowej... obok nich człowiek . . .

— Człowiek — to strażak ratuszowego oddziału straży ogniowej, który wciąga do góry owe kule w razie zoczenia pożaru w mieście. Na dany znak wartownik, stojący na podwórzu, poczyną bić w dzwon i wywołuje oddział do niesienia pomocy. Trochę to prymitywny środek, niezbędny jednak przy słabem rozgałęzieniu w mieście sieci telefonicznej.

— Tu, jak widzę, wyścigi dorożkarskie odbywają się jeszcze w większym rozmiarze, niż przed hotelem Europejskim.

— Zawdzięczamy podobną plagę Stępkowi i Semadeni.

— Cóż winni ci panowie?

— Ja mówię do pana, jak do obytego warszawiaka, i zapominam wciąż o jego niewtajemniczeniu w miejscowe terminy.

— Pan mnie powoli oświeca.

— Stępkiem zowią najdroższą restaurację w Warszawie Stępkowskiego. Tu spożywają smakosze śniadanka i obiady, których sam przedsmak byłby chyba w stanie wstrzymać niejednego konającego od wybrania się na Powązki albo Brudno.

— Domyślam się, że mowa o cmentarzach.

— Powązki — stary cmentarz; na nim dla braku miejsca znajdują wieczny spoczynek tylko wybrańcy, których krewni są w stanie zakupić grób za wysoką cenę, lub których chowają w istniejących już grobach familijnych. Resztę śmiertelników katolickiego wyznania wywożą po śmierci na praskie Brudno.

— A drugi . . . Syreni, Sepleni, czy jak go pan tam ochrzcił?

— Ha, ha, udało się panu! Se-ma-de-ni jest właścicielem cukierni nie gorszej od loursowskiej.

U niego — punkt zborny dla świata teatralnego i śmietanki półświatka, oczywiście też ... złotej młodzieży ⁷⁸⁾ w tużurkach i mundurach. Pozostaje nam dzisiaj do zwiedzenia Ogród Saski. Która godzina?

— Dwadzieścia minut po czwartej.

— Czyżby!? Musimy się pośpieszyć, by zdążyć na czas na obiad; w przeciwnym razie czeka nas niechybnie burza od mojej pani.

10. Spacer po mieście (ciąg dalszy).

— Co nam pan opowie o mieście?

— Pierwsze wrażenie wyniosłem nader korzystne: ruch wielkomiejski, nadobne warszawianki, szykowne pojazdy i dorożki — wszystko to wzbudziło we mnie niemały podziw. Co do ¹⁰⁾ ulic i gmachów, muszę wyrazić swe uznanie szerokości, na przykład (n. p.), Nowego-Świata i Jerozolimskiej Alei, wygodnym brukom, wspaniałym kościołom, eleganckim sklepom. Dziwnie tylko razi nierówność w budowie i rozmiarach domów. Do wysokiej dwupiętrowej lub trzypiętrowej kamienicy tuli się niepokąźny parterowy domek, nieledwie lepianka; ku całemu szeregowi gmachów o dziewięciu i więcej oknach przymyka znowu rząd wysokich, a wązkich o trzech lub czterech, niby topole przy dębach. Zauważyłem szczególnie tę osobliwość w końcu Krakowskiego-Przedmieścia; domy są dosyć brudne nazewnątrz . . .

— Zmieni pan zdanie co do ¹⁰⁾ wielu z poruszonych punktów; poznaj pan bliżej miasto.

— Zmienię zdanie na korzyść czy na niekorzyść?

— Wspominał pan o brukach. Prawda, mamy i takie, po których jedzie się, jak po stole. Ale betonowe, asfaltowe i kostkowe stanowią rzadkość, pokrywają tylko głównejsze ulice, i to nie wszystkie. A reszta — „panie Boże poratuj“! Tu — drobny kamień, tam — żelazne płyty, a nawet ... goła ziemia. Szczególniej szkaradne żelazo. Powozy i dorożki, o ile nie

są zaopatrzone w koła na gumach, sprawiają turkot nie do zniesienia, — umarłego poruszyłoby w grobie!

— Dlaczego magistrat i policya nie zaradzają złemu?

— W ostatnich latach przystąpiono rażniej do dzieła. Za ⁸²⁾ obecnego oberpolicmajstra Warszawa podniosła się pod wielu względami: większa czystość panuje na ulicach i w domach, porządek na środku ulic, lepsze oświetlenie, znośniejsze bruki i chodniki, łatwiejsza i mniej kosztowna procedura w biurach policyjnych.

— Jeśli inne części miasta są utrzymywane tak, jak ta, którą zwiedzałem w pańskim towarzystwie, to nie wiele pozostaje do życzenia.

— Niestety, tak nie jest. Ulice więcej odległe, na skraju miasta, zamieszkałe przez ludność ubogą, której u nas nie brak, jak w każdym innem przemysłowym mieście dzisiejszych czasów, przedstawiają widok godny pożałowania: bieda rozpanoszyła się tam wszechwładnie i wyziera ze wszystkich kątów, odbija swe wstretne piętno na ulicach, w mieszkaniach, na lokatorach. Stare chylące się rudery lub wrosłe do połowy w ziemię, o wilgotnych ścianach i wytłuczonych szybach, gdzie nigdzie zalepionych papierem, ulice niebrukowane, prawie bez latarni, niechlujne, sprawiają wrażenie zubożałej wioski albo zaułków prowincjonalnego miasteczka. Istny obraz nędzy i niedoli.

— Zawrę znajomość i z tą dzielnicą, raczej, podług słów pańskich, — pasem, okalającym miasto.

— Drugą raną Warszawy jest dzielnica nalewowska, zamieszkała przez ortodoksyjnych żydów, czyli anglików, jak ich tu żartobliwie przezywają dla równie niemiłej dla ucha i języka polskiego angielszczyzny i żydowskiego żargonu.

— Czy zbliżony on do polskiego języka?

— Jest on mieszaniną poprzekręcanych słów przeważnie niemieckich i polskich.

— Tak że polak, mówiący po niemiecku, albo naodwrot niemiec, władający polskim, są w stanie zrozumieć żydowską gwarę?

— Prawie.

— Czy antysemityzm tutejszy występuje mniej więcej w tej formie, co u nas w Niemczech?

— Nie zupełnie. Polak zżył się już trochę z swoim żydowskim współobywatelem — o ile można mu wogóle nadać to miano — jeszcze za ⁸²⁾ królów polskich; a wreszcie specjalne miejscowe warunki życia publicznego stoją na przeszkodzie przybraniu przez ludność tak jawnie wrogiej postawy, jak w Niemczech.

— Dlaczego pan zawahał się przy nazwaniu żydów współobywatelami?

— Ponieważ nie korzystają z tych praw, co pozostała ludność.

— Wydano odnośnie do nich prawa wyjątkowe?

— Żydom nie wolno, na przykład (n. p.), mieszkać, jakem już wspomniał, w wielu miejscowościach państwa, zajmować państwowe urzędy za bardzo nielicznymi wyjątkami; do wojska przyjmują na ochotników tylko dziesięć procent (10 %) ogólnej liczby — ostatnie ograniczenie zostało zresztą rozciągnięte w granicach Królestwa i na katolików polaków —, do uniwersytetów tyleż procent ogółu studentów i tak dalej (itd.).

— Nowe to dla mnie po części i ciekawe szczegóły.

— Niedawno znowu policja wydała rozporządzenie, żeby żydowscy właściciele sklepów, którzy wywieszają szyldy i tabliczki na domach od ulicy, umieszczali wbrew utartemu zwyczajowi nie pierwszą literę imienia, a całe, zgodnie z metryką. Od tej chwili spotykamy na domach takie niezwykłe imiona, jak Ajzyk, Fajwel, Pessa. Do wyznawców katolicyzmu rozporządzenie nie stosuje się.

— Gdybym ja był oberpolicmajstrem, rozkazałbym przez wzgląd na kieszeń zainteresowanych nie zamieniać istniejących szyldów na nowe, a, ot, dopisać na starych pod nazwiskiem te dwa słowa: mojżeszowego wyznania . . .

— Dobryś pan! Zajdziemy podczas pobytu pańskiego w Warszawie do owej dzielnicy. Ruch tam niezwykły, wszyscy się śpieszą, popychają i spychają z chodników do rynsztoków; turkot i zgiełk od mnóstwa furmanek z towarami, dorożek, niekiedy krytych bud wysokich — rodzaju poczty, przywożącej ściśniętych na siedzeniach, jak śledzie, interesantów z prowincyi. Nawoływania woźniców, dzwonienie w tramwajach, przekleństwa,

rzucane przez nieszczęśliwych posiadaczy odcisków i przez przechodniów, którym tragarz strąca kapelusz z głowy paka, dźwiganą na plecach, lament przekupki, zajętej zbieraniem skorupki od stłuczonych jajek, — wszystko to tworzy zamęt i harmider nie do opisanego! A przytem zapachy, — że nos sobie zatykać!

— Im dłużej pan opowiada, tem większa bierze mnie chętka zwiedzenia tego Babilonu, nawet kosztem własnych zeber i odcisków.

— Wtajemniczę pana sam w podobnego rodzaju osobliwości Warszawy, a może oddam go pod opiekę Tadeusza; zna on miasto i komiczne jego strony na wylot. Dziś wspomnę tylko jeszcze o jednej, o sposobie ściągania kundmanów, praktykowanym przez wielu handlujących żydowskich. Na progach magazynów stają na czatach sklepowe, oraz subjekci i trzepią: „pani (ewentualnie — pan) pozwoli, może ładne wstążki, aksamitki, koronki, hafty, perkale, korty; niech pani (pan) pozwoli!“ Dobrze, jeśli zapraszanie ogranicza się tylko na mieleniu językiem.⁸³⁾ Na Święto (Ś^{to})-Krzyskiej i na Wałowej, głównych punktach sprzedaży starzyzny — przeważnie odzieży i obuwia —, panowie kupcy puszczają na domiar w ruch ręce i nogi.

— A to co znowu?

— Gdy zoczą, że przechodzień ma zamiar sobie coś sprawić — a mają oni dziwnie wprawne oko —, wybiegają ze wszystkich stron na trotuar, i każdy z nich, wynosząc swój towar pod niebiosa, ciągnie ofiarę w stronę własnego sklepu. Na szali zwycięstwa zaważa zwykle w tych zapasach nie jakość towaru, a brutalna siła fizyczna. Szczególniej umęczonemi i poturbowanemi pastwami zostają nasi kmiotkowie: rozrywają ich na cztery strony, chwytają za ręce, poły sukmany, popychają kolanami, aż wtłoczą do jednego ze sklepów! Pozostali zapaśnicy powracają na zwykłe posterunki u progu sklepów z „nosami, spuszczone na kwintę“.⁸⁴⁾

— Wszak to kompletna bójka, tamująca ruch na ulicy!

— Radzę panu wejść ewentualnie do jednej z tych dziur, — uśmiejesz się do rozpuku! W sklepie nastę-

puje akt drugi tragikomedyi: przymiarka. Wdziewa pan, na przykład (n. p.), na siebie surdut, ale rękawy okazują się za krótkie, kołnierz za niski, sam surdut za ciasny. „Co, rękawy za krótkie? Gdzie za krótkie, poco za krótkie?” woła pan kupiec, wyciągając je przemocą, że aż szwy pękają. „A kołnierz, pan chciał powiedzieć, co ⁸⁵⁾ on jest za wysoki!” wrzeszczy z tyłu subjekt, trzęsąc panem, jak gruszką, i uginając go ku ziemi. A gdy kupujący zwraca wreszcie uwagę, że nie może wcale dopiąć surduta, gorzko pokutuje. Jeden z oprawców puszcza kołnierz, dolatuje do ofiary z przodu, sadza ją na krześle, upiera się kolanem o piersi i poczyną zapinać narzędzie tortury. Szwy trzeszczą ponownie, guziki prawie odpadają, siedzącemu pot spływa z czoła, tchu braknie w piersiach, lecz nic nie pomaga, — surdut dopięty! Wtedy zaczęła skakać naokoło pana i wychwalać towar: „takiego towaru to nigdzie nie dostać, to prawdziwy zagraniczny, krój podług najnowszej mody, a leży surdut, „jak ulany“ ⁸⁶⁾“ I wszystko to razem tylko za dziesięć, czy dwanaście rubli! Biedny męczennik, oszołomiony potokiem słów, oraz trzaskiem szwów i własnych żeber z jednej strony, opadły z sił i pozbawiony energii odpornej z drugiej, próbuje jeszcze coś utargować i opuszcza wreszcie ten nowy inkwizytoryat z tandetą na rękę, kupioną za pięć lub sześć rubli.

— Ha, ha, ja się pokładam od śmiechu ⁸⁷⁾ przy samem opowiadaniu pańskim. Wyobrażam sobie, jak-bym się trząsł, będąc świadkiem — nie przedmiotem, „Boże uchowaj“! — widowiska!

11. Szkoły.

— Tatku, tatku, dostałem dzisiaj piątkę z łaciny!

— A gdzie dzień dobry? Czy tak się wchodzi do pokoju?

— Przepraszam, już więcej nie będę.

— Dobrześ się sprawił, chłopcze! Masz tu dziesiątkę, — wrzucić ją do puszki.

— Za piątkę chwali pan i nagradza chłopca?

— Zapomina pan, że bawi w Polsce, gdzie piątka jest najlepszym stopniem w szkołach, jedynka — mówiąc językiem uczniowskim: pałka — najgorszym; podobnie ósma klasa odpowiada prymie, a pierwsza — sekście niemieckich zakładów naukowych.

— „Zwracam honor“! ⁸⁸⁾ Zasłużyłeś w zupełności na pochwałę.

— Cóż było więcej w szkole? nie wyrywano ⁸⁹⁾ cię z niczego, oprócz łaciny?

— Nie, tylko pisaliśmy extemporale łacińskie przez pół godziny. Jutro będzie rosyjskie dyktando.

— A dużo razy siedziałeś już w kozie?

— Nie, proszę pana, tylko jeden raz za to, że byłem dyżurnym w klasie, i kreda brakowała przy tablicy.

— Bardzo było ci przyjemnie?

— E, co tam! ⁹⁰⁾ Muszę iść do pracy, bo zadali nam bardzo dużo na jutro.

— A gdzie Jacek?

— Jestem, tatku.

— Spowiadaj ty nam się teraz.

— Kazał mi nasz oficer kupić sobie czerwony pasek.

— Cóż ma oficer do ciebie? Zresztą, uczniowie noszą na bluzach skórzane czarne paski.

— Zaraz wytłómaczę panu słowa Jacka. Wie pan już, że uczniowie są obowiązani chodzić jak w gmachu gimnazyalnym, tak i poza jego murami w bluzach z paskami lub w mundurach; w ostatnich w dniu uroczyste, jak święta, galówki ⁹¹⁾, na popisie dorocznym.

— Czy i czapki noszą inne od święta i inne na użytek powszedni?

— Nie, mają jeden rodzaj tylko, z okrągłym denkiem i daszkiem. Nie słyszał pan zapewne dotychczas o wprowadzeniu w gimnazyach nauki gimnastyki wojskowej?

— Myśl wcale niezła.

— Od kilku lat każde gimnazjum ma swego nauczyciela gimnastyki, oficera jednego z pułków, konsystujących w mieście, czy w pobliżu miasta. Przychodzi on co dzień do gimnazjum z feldfeblem i doboszem

i uczy wszystkich uczniów od najniższej do najwyższej klasy gimnastyki wojskowej, obrotów, maszerowania, szyku bojowego i tak dalej (itd.).

— Zatem na wzór szkół francuskich?

— Poniekąd. Każda klasa dzieli się na kształt kompanii wojskowych na oddziały, i starszymi w klasach, a następnie w każdym oddziale zostają mianowani najlepsi gimnastycy. Pierwsi noszą — tylko w obrębie gimnazjum i na wycieczkach —, jako godło urzędu, czerwony pasek, drudzy niebieski.

— Więc nie brak i wycieczek?

— A jakże, urządza je każde gimnazjum kilka razy do roku z wielką pompą. Nauczyciel gimnastyki przybywa z całą orkiestrą pułkową, klasy szykują się z chorągiewkami do wymarszu, i na dany sygnał rusza cały orszak przez ulice w towarzystwie nauczycieli, inspektora i dyrektora zakładu za miasto, — latem często do obozu pułku, do którego należy oficer. W tyle jedzie wóz z prowiantem — rodzaj taboru. Na miejscu następuje uczta, a po niej powrót do miasta w takim samym szyku.

— Wyobrażam sobie, jak radosnem zdarzeniem jest każda wycieczka dla domorosłych wojaków, szczególnie klas niższych, z jaką dumą i majestatem kroczą oni w szeregach!

— Ogromną, i moi chłopcy o niczem nie mówią już na tydzień przed uroczystością, jak tylko o marszu, o muzyce i chorągiewkach, a przez noc, poprzedzającą samą wycieczkę, oka prawie nie zmrużą.

— Pamięta tatko, jak posadzili mnie do kozy na trzy godziny za to, że mówiłem na ostatniej wycieczce po polsku?

— Czyż to przestępstwo?

— Za polski, proszę pana, ogromnie surowo karają. W gimnazyach nie wolno przemówić nawet słowa po polsku, i, jeżeli jaki nauczyciel albo pomocnik gospodarza klasy złapie ucznia na gorącym uczynku, to zaraz po lekcjach pakują go na kilka godzin do kozy. Kto został zauważony kilka razy, tego wydalają.

— Jak widzę, w gimnazyach nie żartują, — koza i wydalanie są na porządku dziennym.

— Karcą za byle przewinienie: nosi uczeń długie włosy, nie ogolił wąsów, zapuścił brodę, ma mundur niezapięty na jeden z dziewięciu guzików, włożył binokle na nos zamiast okularów, ukazał się wieczorem na ulicy bez rodziców, poszedł do teatru bez piśmiennego pozwolenia władzy szkolnej, — czeka go niechybnie koza wielogodzinna, jeśli nie co gorszego.

— Toć to rygor koszarowy!

— Stokroć sroższy w porównaniu.

— Czy bardzo obciążają dzieci pracą domową?

— Po uszy. Nie wielu chłopców z klas niższych może się obejść bez korepetytora w ciągu roku szkolnego. Zaś istną mordęgą są dla uczniów doroczne ustne i piśmienne egzamina przejściowe z klasy do klasy. Dopiero w ostatnich latach postawiono pierwsze kroki ku zapobieżeniu złemu.

— Jakie wady upatruje pan w tych egzaminach?

— Bardzo znaczne. U nas uczeń musi dla otrzymania promocyi zdać rok rocznie zadawalniająco cały rząd egzaminów, ciągnących się zależnie od klasy od jednego do sześciu tygodni.

— Niesłychane rzeczy! Myślałby kto, że mowa o państwowym egzaminie! Jak można trzymać chłopców przez tak długi czas w ciągłej febrze i nateżeniu władz umysłowych? Czyż mogą oni nawet pracować wtedy, jak się należy?

— Siedzą nad książką często bez przesady nocami całemi. Od niedawna dopiero zwalniani zostają od egzaminacyjnych katuszy najlepsi uczniowie klasy — po większej części prymus. Przedtem nikt nie mógł być promowany bez przebrnięcia każdorazowo Scylli i Charybdy. Znane mi są wypadki, że uczeń, który miał na cenzurach przez wszystkie kwartały jak najlepsze stopnie, ścinał się na egzaminie i zostawał w klasie na drugi rok. Pierwsze lody przełamane, czekajmy, co nam przyszłość pokaże.

— Wszak to niedorzeczność: nauczyciele występują wtedy przeciw sobie samym. Kto był dobrym, a nawet celującym uczniem przez cały rok szkolny, ten, należy przypuścić, został nim i podczas egzaminów. Więcej można polegać na poznaniu kwalifikacyi ucznia, opar-

tem na spostrzeżeniach całorocznych, niż na pobieżnem w czasie egzaminów, gdy uczeń przytem jest dręczony ciągłą obawą.

— Na wszystkie zarzuty pańskie udzielam jednej odpowiedzi: cóż począć? Nie mamy innego wyjścia.

— Czy od tych porządków — właściwie nieporządków — nie ocalały i żeńskie zakłady naukowe?

— Różnica pomiędzy ustrojem gimnazyów rządowych żeńskich i męskich polega głównie na różnicy płci wychowanek i wychowawców; daje się też zauważyć w programach szkolnych i w mniejszej ilości klas w zakładach żeńskich: jest ich tylko siedem, oprócz wstępnej klasy. Ale rygor prawie ten sam.

12. Ogólne wychowanie dzieci.

— O czem panowie tak zajmująco gwarzą z sobą?

— O jej milionach, pani dobrodziejko ³²⁾, o dzieciach.

— Nazywa pan dzieci milionami, póki nie ma własnych. Mają rodzice za swoje ⁹²⁾, szczególnie my, matki!

— A no, to zgładzić je wszystkie — nie matki, a dzieci — z tego świata i ciągnąć następnie żywot bezdzietnie.

— Żart na stronę, — nie uwierzy pan, ile zdrowia kosztuje nas pielęgnowanie i wychowanie dzieci. Od kolebki trzeba na to „dmuchać i chuchać“ ⁹³⁾, bo na piastunkach nie można polegać. Za każdym razem, jak musiałam wyjść na miasto i zostawić swój drobiazg na opiece służby, zdejmowała mnie śmiertelna trwoga o dzieci, i biegłam literalnie z powrotem do domu po załatwieniu sprawunków, czy oddaniu nieuniknionej wizyty; serce mi biło, jak młotem, przy ujęciu za klamkę. Cały rój widziadeł stawał mi wtedy przed oczami: nuż które maleństwo wypadło z rąk piastunki i rozbiło się — broń Boże co gorszego! —, nuż które się zadławiło przy jedzeniu lub poparzyło o lampę!

— Za bardzo troskliwa z pani matka.

— Potem, gdy dziatwa podrosła, przyszła kolej na

przyjmowanie bon, guwernantek i nauczycieli, chodzenie około dostania dzieci do gimnazyum, — a wie pan już, że zadanie to u nas nie łatwe —, i od tej chwili nowe troski, nowe obawy.

— A, łaskawa pani, przecież szkoły nie rzeźnie!

— Ma pan racyę: w tych ostatnich biją bydło od razu, a w gimnazyach biorą ludzi na powolne tortury. Jeżeli rodzice dbali o to, by rozwijać wszechstronnie swe dzieci i chować je zdrowo w latach niemowlęctwa i aż do oddania do szkół, to w tych ostatnich jakby się sprzysiężono nie tylko nie prowadzić dalej napoczętego dzieła, ale nawet je niszczyć w zarodku. Spaczone to nasze wychowanie publiczne!

— Czyż pani przekłada nad nie naukę domową?

— Tak, jak dzisiaj stoją rzeczy, — bez wątpienia.

— Kto jest w możności pozwolić sobie w dzisiejszych czasach na podobny zbytek? Niewielu wybranych. Zresztą, i kształcenie domowe nie pozbawione stron ujemnych.

— Ja też nie stawiam go bezwzględnie nad pierwsze. Bynajmniej. Mówiliśmy o kształceniu publicznem w jego obecnej formie. Naładowują dzieci aż do przesytu strawą duchową, często bardzo pośledniego gatunku, nie troszcząc się prawie wcale o rozwój fizyczny. A wie pan: mens sana in corpore sano. I co za skutek? Dzieci mizernieją, niedołęźnieją, nabawiają się skrzywień kręgosłupa, krótkowidztwa, bólów głowy, anemii, blednicy i, Bóg wie, jakich jeszcze dolegliwości i kalectw na całe życie.

— Na dzieciach pani nie widać szkodliwego wpływu szkoły.

— Bo dokładamy wszelkich starań⁹⁴⁾, żeby przeciwdziałać zgubnym wpływom. Nasze córki i synowie używają od dzieciństwa dużo ruchu, chodzą na spacer, jeżdżą konno, grają w piłkę, w krokiet, gimnastykują się, kąpią latem, a przez resztę roku korzystają z domowego prysznicu, pobierali, a młodsi pobierają jeszcze lekcyje tańca i pływania, odżywiają się dobrze. Latem znowu zbieramy manatki i dalejże na wieś na kilka miesięcy! Czy wszyscy rodzice jednak są w stanie

wychowywać tak dzieci? Pragną niezawodnie całą duszą, ale „głową muru nie przebijesz“.

— Pozwoli mi pani zrobić sobie pewną uwagę?

— Słucham pana.

— Mało to rodziców, rozporządzających szczupłymi środkami pieniężnymi, odejmuje sobie od ust, aby dopełnić braki kształcenia gimnazjalnego dzieci, i daje je uczyć prywatnie — czego? . . . języków obcych i gry na fortepianie, czy tam na innym instrumencie! Wskutek tego dzieci, poza czterema do sześciu godzinami, przesiedzianiami na ławie szkolnej, i kilku dodatkowymi nad lekcjami, zadaniami do domu, zostają obciążone nowym balastem.

— A co pan radzi?

— Czy nie byłoby racjonalniej obrócić i czas i ciężko zapracowane grosze na kształcenie ciała dziatwy? Czy rodziców nie zaślepia w danym wypadku zwodniczy blichtr tak zwanego (t. zw.) dobrego wychowania? Domagają się na całym świecie ograniczenia godzin pracy dorosłego wyrobnika do ośmiu dziennie; uważają tem samem za zbyt uczciwe dowodzić słuszności podobnego żądania względem pracowników głowy, — czy nie należałoby ustanowić przynajmniej równą normę pracy obowiązkowej i dla młodzieży dopiero dorastającej!?

— Nie mogę nie przyznać słuszności wywodom pańskim, lecz tradycja, opinia publiczna i pewne warunki specjalne za bardzo ciężą na nas.

— Ciekawym, jakie.

— Wspominał pan o obcych językach. My, polacy, jesteśmy w o wiele silniejszym stopniu skazani na władanie niemi, niż pańscy ziomkowie. Z polskim, czy innym jakim słowiańskim językiem nie wielki objadę kawał świata, jeśli zechcę porozumiewać się z ludźmi nie tylko na migi. Z gimnazyum żaden uczeń nie wyniesie znajomości francuskiego i niemieckiego . . .

— Czy uczą obu języków?

— Tak, ale obowiązkowym jest jeden tylko. A gdy weźmiemy pod uwagę, że niemiecki jest dla nas niezbędny w stosunkach handlowych, a francuski konserwuje swe obywatelstwo w salonach, zrozumie pan

rodziców. Nie przeczę, powoduje nimi też fałszywie skierowana ambicja i częściowe zapoznanie rzeczywistego szczęścia w życiu.

13. Załatwianie sprawunków.

— Dokąd pan zmierza, panie Tadeuszu, w galowym mundurze i ze szpadą u boku, jak jaki dygnitarz?

— Do uniwersytetu po odbiór medalu za rozprawę. Wolałbym ująć zwykłą laskę do ręki. Nie wątpi pan chyba o szczerości moich słów, jeżeli uprzytomni sobie, że widzi mnie po raz pierwszy w galowym stroju. Jak ja, tak i większość studentów, mających środki po temu, chodzi po cywilnemu.

— A wielu jest takich?

— Niestety, nasza studenterya nie opływa w dostatki.⁹⁵⁾ Utrzymywanie się z korepetycyi — mówiąc po naszymu ²¹⁾: z korek — to jej zwykła dola.

— Teraz przypominam sobie, że jakeśmy byli w gmachu uniwersyteckim, raziły moje oczy same mundury ze złocistemi guzikami.

— To znowu z innego powodu. Wszyscy studenci są obowiązani do noszenia w uniwersytecie liberyi, i żadnego z nich, ubranego po cywilnemu, pedle nie wpuszczą do audytoryum. Wybacz pan, że go już żegnam: muszę się stawić na czas.

— Chwileczkę, a pójdziemy razem. Otrzymałem dzisiaj awizacyę i muszę iść na pocztę po odbiór listu pieniężnego.

— Czy pan dał ją już sobie poświadczyć przez rządcę domu i przez cyrkuł?

— Co takiego!? I to jeszcze? Nie dość, że muszę sam chodzić po list, mam włączyć się na dobitkę po cyrkułach! Skaranie z tą waszą pocztą!

— „Niema co“.⁹⁶⁾ Pozwól pan „powiestkę“; poślę ją do rządcy, i za chwilę udamy się na miasto.

— Co pan rozkaże?

— Zaniesiesz, Walenty, natychmiast „powiestkę“

do pana rzadcy i poprosisz o poświadczenie. Tylko chyżo, „na jednej nodze“!

— Więc potem mam zająć do cyrkułu?

— Tak. Tam przyłożą pieczęć, ściągając z pana pięć kopiejek za markę stemplową, a jeśli pan zechce nie długo czekać, drugą piątkę za pośpiech.

— Czy daleko do najbliższego oddziału pocztowego?

— O, stąd okiem nie dojrzyć. W całym mieście znajduje się wszystkiego ⁵⁶⁾ dziesięć oddziałów, i od nas najbliżej na Plac Warecki do głównej poczty.

— Wiem, gdzie to jest, trafię.

— Oto i „powiestka“. Możemy iść. — Dorożka! Do uniwersytetu! Proszę, wsiadaj pan, podwiozę go kawałek, do rogu Wareckiej. Jazda! ⁴⁵⁾

— Nie patrzy pan na zegarek, która godzina?

— A to poco?

— Dorożkarz może okpić.

— Jakim sposobem? Dostanie swoich dwadzieścia kopiejek za kurs jazdy, w najlepszym razie jeszcze pięć na piwo ⁶⁾, i sprawa załatwiona.

— Więc tu u was nie płaci się od czasu jazdy, a za kurs?

— Tak. Jednokonka otrzymuje za kurs miejski w dzień dwadzieścia kopiejek, dwukonka dwadzieścia pięć, w nocy — trzydzieści pięć i czterdzieści. Jedynie jazda do dworców kolejowych, za wyjątkiem Wiedeńskiego, i od takowych kosztuje drożej.

— O wiele?

— Do dworców — zapomniałem przedtem dodać, że i do Łazienek, Cytadeli, na Pragę, Solec i ulicę Czerniakowską — płaci się obu klasom dorożek, jak w dzień, tak i w nocy o dziesięć kopiejek drożej, a od dworców dróg żelaznych, znowu oprócz Wiedeńskiego, do wszystkich punktów miasta w dzień o trzydzieści pięć, w nocy o czterdzieści kopiejek ponad kurs zwyczajny.

— Taksa tego rodzaju wypada przeważnie na korzyść pasażerów. Czy można wynajmować dorożki i na godziny?

— A jakże, po cenie pięćdziesięciu pięciu, względnie sześćdziesięciu kopiejek za godzinę jazdy. Jeśli

kto zechce trząść sobie kości po nocy, płaci piętnaście kopiejek nad dzienną takse. Tu musi pan wysiąść. Czy byśmy się nie zeszli za godzinę lub za dwie w Saskim Ogrodzie u Loursa?

— Bardzo będę panu wdzięczny. Zatem do widzenia!

— Czekam z pewnością.

* * *

— Mam do odebrania list pieniężny.

— Gdzie „powiestka“?

— Proszę. Czy dostanę u pana marek pocztowych? ⁴⁹⁾

— Niech pan się pofatyguje do okienka po prawej stronie.

— Proszę o pięć marek dziesięciokopiejkowych, sześć po siedem kopiejek, dwie karty pocztowe zagraniczne i cztery miejskie. Co płacę?

— Rubla dwanaście kopiejek.

— Nie mam nic drobnych.

— Nie szkodzi; może pan ma dwa ruble, to wydam osiemdziesiąt osiem kopiejek reszty.

— Dziękuję. Chciałbym podać telegram.

— To nie u nas. Musi pan udać się do telegrafu, albo do filii w hotelu Europejskim.

— Stójkowy, gdzie telegraf?

— Niech pan pójdzie prosto, aż do Ogrodu Saskiego, potem przez Ogród około fontanny i aleją, która prowadzi do ulicy Hrabiego (Hr.) Kotzebue; pozna ją pan po studni.

* * *

— „Smacznego“! ⁹⁷⁾

— Prędko się pan załatwił, panie Tadeuszu. Co obstalować dla pana?

— Niechaj będzie kawa, — dotrzymam panu towarzystwa. A co pan robił z sobą przez czas rozłąki?

— Nie próżnowałem. Odebrałem list pieniężny, nakupiłem marek pocztowych, podałem depeszę z powinszowaniem z okazji zaślubin kuzynki, dowiedziałem się za trzy kopiejki w ratuszowym stole adresowym ⁹⁸⁾

o mieszkaniu pewnej osoby, dla której mam z sobą pakiecik, i zainkasowałem pieniądze, przysłane mi w przekazie na Bank Handlowy. Tu na werendzie siedzę już od kwadransa i czytam dzienniki humorystyczne.

— Czy nie zapomniał pan wziąć kwit z telegrafu?

— Chciałem odejść po zapłaceniu — jak to u nas w zwyczaju —, i dopiero telegrafista przywołał mnie z powrotem i wręczył kwitek.

— Obejrzał pan ogród?

— Przeszedłem się trochę. Piękny; szczególnie zachwycił mnie plac z fontanną i kłębami wokoło, szeroka cienista aleja, ciągnąca się od niego aż do Żelaznej Bramy i staw, poza którym stoi na pagórku jakaś wieża o szerokim obwodzie.

— Zbiornik wody dla fontanny.

— Cóż to znowu za żółty jegomość?

— Zwyczajny posłaniec.

— Wygląda, jak kanarek.

— Od niedawna dopiero. Przed otwarciem biura posłańców przy miejskiej kontroli służących⁹⁹⁾ istniało prywatne przedsiębiorstwo, którego najmici nosili czerwona barwę. Milej łechtala ona oko.

— A tośmy się zasiedzieli! Mnie aż noga zdrętwiała. Już trzy kwadranse na czwartą, — czas na obiad.

14. Wycieczka do Wilanowa: jazda.

— Walenty, każ założyć konie. Czy wszystko przyszykowane?

— Zdaje mi się, że o niczem nie zapomniałam, i że nam chyba zabraknie tylko ptasiego mleka.

— Pragnęliśmy urządzić panu niespodziankę, i, o ile mam sądzić ze zdziwionej miny pańskiej, nikt się nie zdradził przed naszym drogim gościem z tajemnicy. Jedziemy dziś na cały boży dzionek do Wilanowa.

— Nie wiem, jak wyrazić wam, moi państwo, głęboką wdzięczność za tyle ku mnie dobroci, za uprzy-

jemnianie mi na każdym kroku gościny u was. Wilanów nie daje mi spać od pierwszej chwili pobytu w Warszawie. Gryzłbym się niepomrotnie, gdybym nie ujrzał starej siedziby Sobieskiego.

— Nie tracić czasu. Jak się zabierzemy?

— Ile nas jest osób?

— Osiem.

— Czy wliczyłeś Walentego?

— Nie.

— Więc dziewięć. Niema co ⁹⁶⁾, część musi pojechać tramwajem. Powóz zmieści nie więcej, jak cztery osoby, jeden z chłopców usiadzie na koźle — to pięć, i, gdyby nawet zaprządz Strzałę do wolantu, zawszeby jeszcze dwie osoby zostały na koszu.¹⁹⁾

— Masz rację. Proponuję, ażebyśmy z panem Karolem i Wandą wsiedli do powozu, Jacek zajmie miejsce obok Piotra i będzie powoził . . .

— Świetnie, — będę trzymał lejce!

— Obyś nas tylko nie wywrócił po drodze do jakiego rowu!

— Nie, na pewno nie wywróczę, tatusiu.

— No, dobrze już, dobrze. Lutek dosiedzie Strzałę, a ty, Tadziu, musisz zaopiekować się Jadzią i pojechać tramwajem; weźmiesz też Walentego z sobą. Nie ma innego sposobu.

— Z całą chęcią, ojcze.

— W takim razie radzę, byście nas już pożegnali i ruszyli naprzód: nuż przyjdzie czekać na tramwaj. Punkt zborny w Wilanowie u wjazdowej bramy. Czy zgoda?

— Nie mam nic przeciwko temu.

* * *

— Dobry będzie z Lutka kawalerzysta; siedzi, jak gdyby przyrósł do siodła. Ale i szkapa niezgorsza, ma dobrego kłusa.⁵⁾

— Lutku, zepnij no ostrogą Strzałę i pokaż panu Karolowi, jak ona idzie galopem. Czy pan jeździ konno?

— Od dziecka.²³⁾ Na koniu czuję się w swoim żywiole. Dlaczego powóz stanął?

— Jesteśmy u rogatki Belwederskiej, i trzeba zapłacić kopytkowe.

— Więc to jest owa sławetna kolej Wilanowska? Nie bardzo imponuje swoim wyglądem.

— Jesteśmy i za nią wdzięczni projektodawcy. Pierwsza to u nas kolej konna podmiejska.

— Od kiedy funkcjonuje?

— Do Czerniakowa od roku tysiąc osiemset dziewięćdziesiątego (1890-go); w tym samym czasie przystąpiono do dalszych robót i ułożono w rok linię aż do Wilanowa.

— Czy pociągnęła duże kosza za sobą?

— Budowa drogi wraz z mostkami i nasypami kosztowała do sześćdziesięciu tysięcy rubli, to jest (t. j.) około półdziwiata tysiąca za wiorstę. Gdyby była szerokotorowa podług innego projektu, podanego jeszcze przed pięćdziesięciu laty przez byłego dziedzica Wilanowa hrabiego (hr.) Augusta Potockiego, pochłonięłaby o wiele większe sumy, — zupełnie nie na nasze kieszenie.

— Kto jest obecnie właścicielem Wilanowa?

— Po hrabinie Potockiej Wilanów odziedziczył Ksawery hrabia (hr.) Branicki. Ostrożnie, Jacku, byś nie zawadził kołem powozu o tramwaj! O nieszczęście nie trudno. Zjedź na lewą stronę drogi.

— Spójrzysz pan na prawo ku Marcelinowi. Ile wesołych wspomnień sprowadza to słowo na pamięć liczny warszawiakom! Czyż nie tak, mężulku?

— A tak, tak, dałoby się o tem coś powiedzieć. Widzi pan, panie Karolu, Marcelin jest miejscem najzbytkowniejszych uczt warszawiaków. Hula tu i wyprawia orgie świat i półświatek; szampan się leje strumieniami, ostrygi znikają setkami.

— Czy to nie panna Jadwiga powiewa ku nam chustką z tramwaju, który doganiamy?

— W samej rzeczy.⁷¹⁾ Podetnij no, Jacku, konie i wyprzedź tramwaj, bo inaczej nie staniemy pierwsi w Wilanowie.

— Czekamy na was u bramy, Tadeuszu. A przyjedźcie przed północkiem!

— Będziemy pierwsi od was!

— To się pokaże! Adie, adie!

— Dużo osób podąża dziś w naszą stronę.

— Nie tylko dzisiaj; co niedzielę powtarza się podobna pielgrzymka od czasu połączenia tramwajem tej uroczej miejscowości z Warszawą. Dawniej było inaczej: odbywano drogę pieszo, w powozie, wynajętej dorożce lub bryczce. Do pierwszego rodzaju tranzlokacyi na większą odległość nie wielu posiada ochotę, drugi jest połączony ze znacznymi kosztami.

— Czy okolice Warszawy obfitują w miejsca wycieczek?

— Wcale nie. U nas życie miejskie z tej strony jest znacznie słabiej rozwinięte, niż w Berlinie. Nie ma prawie dokąd zaglądać i brak dogodnych połączeń. Za główny punkt wycieczek letnich służy dla drobnych mieszczan Saska Kępa na Wiśle. Tam się oni wyhuśtają, wytańczą, nastrzelają z flowerów i upiją za cały tydzień. Drugie miejsce zajmują obecnie stacje pośrednie kolei Wilanowskiej, jak Sielce, Czerniaków, i sam Wilanów; następują Bielany, Wierzbno, Mokotów i to prawie już wszystko. Uczęszczane są te miejscowości i niektóre dalej położone szczególnie na wiosnę, kiedy poczyną się ruchawka posród majówkowiczów.

— Kto to kłaniał ci się?

— To pan X. z towarzystwa cyklistów; poznałam go przeszłej zimy na kawie u Mani.

— Jesteśmy na miejscu. Wysiadajcie, panowie, i podajcie nam ręce.

— Ty, Piotrze, możesz zajechać do karczmy i popasać konie. Czekał tam na nas. Kosz z jedzeniem postaw na ziemi.

— Zaraz na samym wstępie staje mi przed oczami małe arcydzieło sztuki. Jaka ta brama ładna, lekka i efektowna! Nie rozumiem tylko zestawienia armaty z rycerzem w greckim stroju.

— Gdzie Lutek? Nie widzę go.

— Pojechał na spotkanie Tadka i Jadzi.

— A ich, „jak nie widać — tak nie widać“.

— Nareszcie przybywacie. Czy tramwaj się wywrócił gdzie po drodze, żeście cali w kurzu?

— Nie, tylko straszna kurzawa na szosie; kompletne tumany pyłu wznoszą się z pod kopyt końskich i gryzą w oczy, że aż trudno wytrzymać. Należałoby polewać szosę w święta.

— Dobrześ zrobił, Walenty, zabierając z sobą szczotkę do ubrania i do butów. Chwalebna przeczorność! Otrzep i nas trochę z kurzu, — nie można wejść do pałacu, jak do oberży.

— Tak, teraz wszystko w porządku; jesteśmy przynajmniej podobni do ludzi. Na kogo lub na co jeszcze czekamy? „Komu w drogę, temu czas.“¹⁰⁰⁾

— Zwiedzałam już tyle razy pałac wilanowski, że znam go, „jak swoich pięć palców“, i chętnie skwituję tym razem z oględzin. Ot, wezmę z sobą Walentego z żywnością i zajmę się przygotowaniem dla was jedzenia. Wyjechaliśmy z domu prawie na czczo i nie wątpię, że wrócicie zgłodniali, jak stado wilków.

— Jak sobie życzysz. Oczekuj nas na trawniku, gdzie zwykle odpoczywamy. Do widzenia!

— Bawcie się dobrze i nie siedźcie za długo.

— Głód nas sam przypędzi z powrotem. Jeszcze raz — bądź zdrowa!

15. Ciąg dalszy: pobyt na miejscu.

— Oj, jakam ja głodna, mamó!

— Mamó, jeść, jeść!

— Daj prędzej co do jedzenia, bo wszyscy mdlejemy z głodu.

— Zasiedzieliście się w pałacu, — dobrze wam tak! Samowar jeszcze nie nastawiony, i nie mogę nalać herbaty, ani ugotować jajek, a surowych nie zechcecie pić przecież.

— Walenty, Walenty, a pośpiesz że się tam z samowarem!

— Woda się zaraz zagotuje, proszę łaski pana⁴¹⁾, i będzie można zaparzyć herbatę.

— A uważaj, żeby nie za bardzo naciągnęła.

— Zaprzątnełaś się tu tymczasem niezgorzej. Sia-

dajcie, państwo, na dywanie. Co za uczta! Pieczone kurczęta, kotlety na zimno, wędliny, jajka... na twardo czy na miękko?

— Na twardo, bo zapomniałam zabrać kubki do jajek.

— A to co w tym papierku? Aha, sól w wiejskiej solniczce. Co widzę — ciasto, owoce, bakalie? Nie brak wódki i wina... Chodź, niechaj cię uściskam, moje życie! Zanim herbata będzie gotowa, możemy coś przetrącić. Panie zapewne reflektują na likier? My chyba łykniemy czystej.

— A to ci sprzątają z talerzy! Myślałby kto, że od dwóch dni nic nie mieli w ustach. Lutku, ostrożnie, bo się zakrztusisz kostką.

— No, panie Karolu, bis repertitum! Po zakąsce kieliszeczek dobrze robi. Walenty, odkorkuj no tam jeszcze jedną butelkę. Masz grajcarek?

— Daj mu swój scyzoryk z korkociągiem, mężu.

— Omne trinum perfectum! To rozgrzewa żołądek i zaostrza apetyt.

— Nie odmówię, nawet wobec obawy ściągnięcia na siebie podejrzenia pań, że ze mnie nałogowy pijak.

— Teraz, gdy pierwszy głód minął, opowiedz mi pan, coś widział. Może cytryny do herbaty?

— Dziękuję bardzo, wolę czystą. Dużo widziałem, nadspodziewanie dużo.

— Jak panu spodobał się zewnętrzny wygląd pałacu?

— Znać gust wyborny w stylu i znajomość sztuki budowlanej. Architektura pałacu w stylu odrodzenia, wąskie wysmukłe półkolumny, zakończone korynckimi kapitelami, okna olbrzymie o łukowych zakończeniach, mnóstwo płaskorzeźb, rozrzuconych na galeryach, — wszystko to z wytwornością pomyślane, wywiera bardzo przyjemne wrażenie; najslabszą stroną architektoniczną pałacu jest niski cokół. Czy cały gmach został naraz zbudowany?

— Nie, z początku tylko korpus. Gdy król Jan Trzeci (III), nabył w tysiąc sześćset siedemdziesiątym roku (1670 r.) na własność dobra wilanowskie, wówczas zwane milanowskie, skromny dworek nie odpowiadał

zupełnie przeznaczeniu, jakie mu Sobieski zakreślił. Więc król wzniósł na miejscu dworka dzisiejszy pałac po wieże. Dwa skrzydła boczne zostały dobudowane znacznie później.

— A pokazałeś szczegółowo panu Karolowi całe wnętrze pałacu?

— Niestety, zapomnieliśmy, że w święta i niedziele góra z pokojami chińskimi zamknięta.

— Z jakiego powodu?

— Natłok publiczności wielki, a pokoje malutkie. Że prawe skrzydło z salą Augusta Drugiego (II) stanowi prywatne mieszkanie właściciela i jest zamknięte dla zwiedzających, — wiesz sama o tem.

— Wielka szkoda, — zresztą, „co się odwlecze, to nie uciecze“. W chińskich pokojach poza przedmiotami, które dzisiaj nie przedstawiają nic osobliwego i wielu imitacyami, jest mnóstwo rzeczy nader godnych widzenia: wyroby porcelanowe i majolikowe, jak wazy ze złoceniami i ozdobne bronzem, bogata kolekcya najróżnorodniejszych figurek chińskich, czajniki, filiżanki, flaszeczki, dzbany, cacka toaletowe; bardzo piękny zbiór pokrywek od tabakierok, z których wiele jest bogato inkrustowanych, rzeźby z pniów drzewnych, zadziwiające swym wykonaniem, wyroby z laku i z kości słoniowej, pomiędzy innemi (p. in.) kula, wycięta z kości, w której znajduje się szesnaście kul innych; wiele cennych szkatulek i tak dalej (itd.).

— Któż zebrał tak bogatą kolekcję?

— Większość chińszczyzny pochodzi ze zbiorów Stanisława Potockiego. Za czasów Sobieskiego, kiedy pokoje te należały do Maryi-Kazimiery i jej dworu, podczas gdy król zamieszkiwał dolne apartamenta, był w pałacu tylko jeden pokój chiński.

— Bardzo żałuję, że musiałem poprzestać na zwiedzeniu części zbiorów. Starłem się powetować stratę, oglądając tem skrzętniej dolne apartamenta.

— I co pan o nich powie?

— Nie będę opisywał ich pani, która zna w pałacu zapewne każdy sprzęt. Wiele tam drogocennych zabitek, istne muzeum starożytności.

— Zwrócił pan uwagę na meble w pokoju Zielo-

nym z czasów Maryi-Kazimiery, kryte gobelinami? Widać na nich coraz to inną scenę ze świata zwierzęcego i ptasiego.

— A jakże. Podług mnie¹⁰¹⁾ najładniejszy to garnitur w całym pałacu. Przyglądałem się też długo szablom króla Stefana Batorego, Zygmunta Trzeciego (III), hetmanów Szczęsnego Potockiego i Chodkiewicza, srebrnej pozłacanej buławie ostatniego, biórku, podarowanemu królowi Janowi Trzeciemu (III) po odsieczy wiedeńskiej przez papieża Inocentego Jedenastego (XI) i, Bóg wie, czemu jeszcze.

— Byli panowie w bibliotece?

— Nie, głód nam już za bardzo dokuczał. Wielka szkoda, że nadzwyczaj bogate zbiory obrazów nie mają należytego pomieszczenia. Wiele z nich wisi w cieniu, po kątach, wiele ledwo okiem dosięgnąć.

— Z czasem znajdą one może odpowiednie przytułek. Obecny właściciel Wilanowa zaprowadza powoli większy ład w całym pałacu. Nie uwierzy pan, jak mu powiem, że galerya mieści do tysiąca okazów.

— Czyżby? Trudno podejrzewać tak wielką liczbę na pierwszy rzut oka.

— Czy można wstać od stołu?

— Ładny stół! Chce wam się zbytkować z ostatnim jeszcze kęsem w ustach. Co pocniemy teraz?

— Jabym radził przejechać promem rzekę i zwiedzić okolice po drugiej jej stronie.

— A ja — zagrać w „czarnego luda“. ¹⁰²⁾

— Nie — w piłkę.

— Przespać się.

— Głosować, a potem rozstrzygać.

— Najlepiej chyba będzie, jeżeli zaspokoimy żądania wszystkich; kto chce, niechaj się zdrzemie, reszta może pograć w piłkę, a po wypoczynku ruszymy razem z nowymi siłami w dalszą drogę. Ja pierwszy powiem szanownemu towarzystwu: dobranoc!

— Ja pójdę za twoim przykładem.

— A ja się przyłączę do młodzieży; nie jestem zupełnie śpiący.

— Czas do domu, już się zmierzcha, i wszyscy pomęczeni.

— Jeszcze troszeczkę, mamó, tu tak przyjemnie!

— Ale już wilgotno, — rosa pokryła ziemię. Jesteście bez ciepłych okryć, a o przeziębienie nie trudno.

— Jeszcze tylko pół godzinki, kwadrans, dziesięć minut, mamusiu, mamusieńko!

— Przylepka, jak to się przymila, a taki duży chłopiec! Niechaj już będzie po twojemu¹⁰³⁾, ale za dziesięć minut nieodwołalnie do domu.

— Walenty, skocz no do zajazdu i powiedz Piotrowi, żeby zaprzągnął konie; może też zaraz zapalić latarki u powozu i osiodłać Strzałę.

— Czy zachowamy porządek, w jakim przyjechaliśmy?

— Jabym radził, żeby Jacek dosiadł teraz Strzałę. Koń może łatwo się potknąć po nocy i wysadzić Lutka z siodła; Jacek jest i starszym i więcej doświadczonym jeźdźcem.

— Przystajesz, chłopcze, na propozycję?

— Dlaczego nie? Ja się ciemności nie boję. Oho, jabym trafił do domu nawet wtedy, gdyby księżyc wcale nie świecił. Cóż dopiero²⁵⁾ w taką jasną, gwiazdzistą noc, jak dzisiaj!

— Zuch z ciebie. Teraz musimy się już ostatecznie zabierać do domu, — żadne prośby, ani błagania nie przydadzą się na nic. Naprzód, marsz!

16. Bal.

— Zatem będziemy dzisiaj tańczyli?

— Cóż miałam robić? Przyczepiła się do mnie ta trzpiotka Wanda, jak pijawka¹⁰⁴⁾, i nuż prosić, a błagać, żem musiała wreszcie przystać na urządzenie balu.

— Mamó, proszę mnie nie obmawiać przed panem Karolem, a zarazem i siebie samą: gotów pomyśleć¹⁰⁵⁾, że trzymam was wszystkich pod pantoflem!

— Słuchaj pan tylko! Jak pocznie tłómaczyć, kręcić, a ogłuszać swą wymową, to albo wcale nie

dopuści do słowa i przyjmie wymuszone milczenie za oznakę zgody, albo też będzie się napierała tak długo, aż postawi na swoim.¹⁰⁶⁾

— Niebezpieczna osóbka z panny Wandy! Więc pani mam zawdzięczać dzisiejszą okazję przetańczenia z nią pierwszego walca, polki i kontredansa? Boć mi ich pani nie odmówi?

— Nie tak obcesowo! Proszę grzecznie poprosić.

— Błagam na klęczkach.

— Teraz przystaję.

— Sam pan przyzna, że pora jeszcze nie odpowiednia po temu⁶⁰⁾, by wydawać bale. Ale młódź nasza hasałaby w mrozy i w upały, od zmierzchu do świtu. Ledwie posłyszają dźwięki muzyki — walc, galopki, wszystko jedno —, nie mogą już ustać, ani usiedzieć na miejscu, tak im nogi same skaczą . . . że już nie wspomnę²⁵⁾ o mazurze.

— Cieszy mnie niewymownie nadzieja ujrzenia mazura. Tylem się o nim nasłyszał, że nie mógłbym opuścić Warszawy, nie ujrawszy polskiego narodowego tańca.

— W takim razie puść pan wodze¹⁰⁷⁾ radości, — wkrótce ziszczą się pańskie oczekiwania. Zresztą, jeżeli nie u nas, zobaczyłby pan mazura⁵⁾ w „Halce“ Moniuszki; wybieramy się do teatru w przyszłym tygodniu. Tak pan zajęty wiadomością o balu, że zapomniał nawet zapytać, na czyją cześć go urządzamy.

— No, czyjeś urodziny niewątpliwie, imieniny, rocznica ślubu państwa lub podobna uroczystość.

— Zgadł pan tylko do połowy. Obchodzimy urodziny, mianowicie Wandy, ale prawdziwym powodem balu jest skończenie przez nią akurat lat siedemnastu. Od dzisiaj Wanda przestaje być podlotkiem i wstępuje w świat.

— A, winszuję z całego serca i przepraszam, że tak późno, winszuję podwójnie: urodzin i pełnoletności.

— Fe, od jednego rozmachu¹⁰⁸⁾ dodaje mi pan cztery lata i robi starą panną!

— Proszę nie przyjmować tak dosłownie mojego przemówienia. Chciałem przez nie tylko wyrazić, że staje się pani pełnoletnią w towarzyskim życiu, nie

tak, jak my, biedni mężczyźni. Nas uważają w wieku pani jeszcze za podrostków, których najwyżej tolerują na zebraniach panieńskich.

— Co do ¹⁰⁾ tego, ma pan słuszość.

— Panienki i chłopcy, którzy jeszcze przed rokiem przyjmowali, jako rówieśnicy, wspólnie udział w zabawach, stają nagle wobec siebie: pierwsze — jako panny dorosłe, członkowie towarzystwa, drudzy — przez długie lata jeszcze, jako młokosy. Taka już nasza dola!

— Czy pan zupełnie nie tańczy mazura?

— Niestety, — inaczej już bym zaprosił panią. Skąd ja do mazura?

— Nie wiem, czy dzisiejszy mazur będzie jednym z lepszych. Powinienby pan pojechać na jaki bal do naszej szlachty wiejskiej. „Rany Pańskie“ ¹⁰⁹⁾, co wyprawiają! Szyby nieledwie lecą z okien, mury drżą w posadach, światło dzienne wkrada się już przez szpary okiennic, pot spływa strumieniami z czoła pomęczonych, zziajanych tancerek i tancerzów, — ale taniec nie ustaje, aż dopiero o świcie, po barszczyku.

— Jakto, po barszczyku?

— Nie słyszał pan widocznie o częstowaniu gości na naszych balach nad ranem barszczem, i stąd zdziwienie.

— Czy pani już przyjmowała udział w podobnie szalonej zabawie?

— A to dobre! Pan nazywa przetańczenie jednej nocy szaloną zabawą!? A słyszał pan już co o kuligach?

— Nie, i tem będę wdzięczniejszy za kilka słów wyjaśnienia.

— Uprzedzam pana byś nie szukał dość silnego epitetu dla kuliga po udzieleniu pierwszej zabawie miana szalonej: polski język jest na to za ubogi...

— Oho, dostałem się w pazurki panny Wandy i poczynam je odczuwać na własnej skórze! Składam od razu broń w rączki pani. Łaski! ¹¹⁰⁾ Przetańczenie nocy jest dziełem wzniosłem, szlachetnem!

— Otrzyma pan rozgrzeszenie dopiero po tańcach, — ma się rozumieć ¹¹¹⁾, o ile poprze swe ostatnie słowa czynem.

— Dołożę wszelkich starań.⁹⁴⁾ Powróćmy teraz do kuliga, jeśli pani nic nie ma przeciwko temu.

— I owszem. Otóż za dobrych czasów kulig polegał na następującem: jak spadły śniegi i utworzyły dobrą sanne, umawiało się kilka rodzin obywatelskich, przebierało w krakowskie ubrania i urządzało o zmierzchu najazd na dwór jednego z sąsiadów. U niego tańczono aż do rana, pokrzepiając słabnące siły starym węgrzynem, następnie z dnia robiono noc, a wieczorem zapalano pochodnie, i hejże mknać po śniegu z rodziną amfitryonów do najbliższego sąsiada! Tam następował akt drugi zabawy, podobnusięńki, „jak dwie krople wody“ do pierwszego, za nim trzeci i czwarty, dobiegając czasami liczby sześciu i siedmiu.

— Malowniczo musieli wyglądać ci tancerze podczas jazdy w nocy.

— To był widok, jakich szukać! Orszak wciąż rósł po drodze, wciąż więcej sunęło sanek i liczniej płonęły pochodnie. Już zdala uderzały o uszy ¹¹²⁾ zaciszego kmiotka śpiew i okrzyki, a oczy raziło w mroku nocnym żarzące się światło. Rozbawieni mkną „na łeb na szyję“ poprzez, góry i doły, starając się wzajemnie prześcigać. Śnieg skrzypi; malownicze ubiory podnoszą urok ruchomej panoramy. Wydałaby się ona panu nieledwie fantastyczną, niby z tysiąca i jednej nocy, prawda, papo?

— Jaka szkoda, że muszę przed nastaniem zimy wrócić do Berlina! Pragnąłbym bardzo być chociażby świadkiem kuliga.

— Niestety, co raz one u nas rzadsze i nie tak huczne dzisiaj, — trwają dwa, trzy dni, nie dłużej. Zmienione warunki życia przekształcają lub niweczą doszczętnie stare obyczaje. W dzisiejszych czasach szlagon ma głowę za bardzo zaprzątniętą kwitkami żydowskiemi, pozwami o zapłacenie podatków, sekwestrami i tak dalej (itd.); bieda gniecie i płoszy ochotę do zabawy.

— Czyżby?

— Nie myśl pan jednak, byśmy zupełnie upadli na duchu.¹¹³⁾ „Bądź co bądź“, polak nie zapomina o przykazaniu praojców: „hulaj dusza bez kontusza!“

— O ilem zdołał poznać pańskich ziomków, panie N., trudno zachwiać ich wiarę w opatrność i w przyszłość. Wszak — „jakoś to będzie!“ Szczęśliwe natury.

— Tak jest, nie mogę zaprzeczyć słuszności słów pańskich; posunę się nawet dalej i wypowiem otwarcie, żeśmy naród trochę lekkomyślny.

— Niechaj papa nie oczernia pocciwych polaków!

— Chociażby przez wzgląd na ich talent w nogach,
— czyż nie, panno Wando?

— Zaczekaj pan do wieczora z swym sądem. Teraz muszę go pożegnać i pomódz mamie; mamy dzisiaj jeszcze dużo roboty. Na służbie nie zupełnie można polegać.

— Zatem do wieczora!

— Radzę panu, jako nieprzywykłemu do naszych balów, iść teraz do siebie i zawczasu się zdrzemnąć.

— Pójdę chętnie za pańską radą.

— Czekamy wieczorem na pana.

* * *

— Ba, ba, co za parada! Frak nowiuteńki, szapoklak, lakierki!

— Państwo jeszcze nie ubrani, i w salonie ciemno, — a ja już myślałem, żeś zasnęł.

— Toż to dopiero pół do dziewiątej.

— Jabym powiedział: dlatego, że pół do dziewiątej.

— Zna pan jeszcze za mało nasze zwyczaje. U nas, panie, goście schodzą się na większe bale nie wcześniej, jak o dziesiątej.

— Proszę panienki⁴¹⁾, fryzjerka czeka.

— Panowie wybaczą, że ich opuszczam na chwilę. W mgnieniu oka będę uczesana i ubrana.

— Znam ja kobiece mgnienie oka. Ale nie przeszkadzaj sobie, — ja dotrzymam tymczasowo towarzysztwa panu i zdążę się przebrać, jeżeli nie dasz za długo czekać na siebie. Gdzie mama?

— U siebie. Adiu panom!

— Pan pozwoli, że powrócę do przerwanej rozmowy; wtajemniczy mnie ona w obcą mi dotychczas dziedzinę życia warszawiaków.

— Do usług pańskich. Mówiliśmy o późnem zjawianiu się gości na bale, mniej więcej około jedenastej; czy nie tak?

— Więc kiedy wracają do domu?

— Córka już wspominała: o świcie, zatem o szóstej, siódmej godzinie rano, — kiedy inni wstają do pracy po przespanej nocy.

— I dużo trafia się podobnie długich zabaw?

— Dzień za dniem, szczególnie w karnawale, bo potem w czasie wielkiego postu nie wolno tańczyć.

— Nie pojmuję, jak młodzież może podołać tak częstym zaproszeniom.

— Ba, trzeba poznać naszych kawalerów. Niezmordowani na punkcie zabaw i tańców! Często młody człowiek otrzymuje po pięć, sześć, nawet dziesięć zaproszeń w jednym tygodniu, niekiedy po dwa i po trzy na jeden i ten sam wieczór.

— Chryste Panie!

— Naraz wystawiają o tym czasie premierę, lub występuje gościnnie znany śpiewak, czy diva, — a my nie zaniebujemy teatru . . .

— Cóż robią młodzi ludzie wtedy?

— Idą na przedstawienie, zostają aż do spuszczenia kurtyny po ostatnim akcie, następnie po teatrze, zatem mniej więcej o pół do dwunastej wpadają na jeden bal, obtańcowują kilkanaście panien i mężatek, wymykają się po angielsku, pożegnawszy tylko gospodarstwo domu, i podążają na drugą zabawę o pierwszej lub drugiej po północy. Nad ranem wracają do domu, śpią godzinę lub dwie, często nie kładąc się już nawet do łóżka, a o dziewiątej podążają do codziennych zajęć, do biura, czy do szpitala, uniwersytetu, — gdzie kto pracuje.

— Kiedyż mają czas ci męczennicy na odpoczynek?

— Niekiedy tygodniami¹¹⁴⁾ śpią tylko dorywczo, po trzy, cztery godziny na dobę.

— Dziwa, dziwa wistocie! Słyszałem o zamiłowaniu polaków do tańca, w którym dosięgli wysokiego

stopnia doskonałości, ale nie miałem pojęcia o podobnem zaparciu się siebie, — mówiąc szczerzej: marnowaniu zdrowia i czasu. I ja lubię pohulać, lecz w miarę.

— Do pewnego stopnia potakuję panu — dzisiaj, gdy liczę pięćdziesiąt lat z górą.¹¹⁵⁾ Jako młodzik, upajałem się tańcem i wycieńczałem swoje siły nie mniej od zastępów innych.

— Dziwa, dziwa!

— Oto i nasze panie, — poflirtuj pan z niemi, a ja pójdę wdziąć na siebie tużurek. Przyjemnej zabawy!

— Panno Wando, wygląda pani w swej sukni z gazy, jak bogini! Paść tylko na kolana i modlić się do niej.

— Poganin z pana! Ale i pan wyświeżony dzisiaj. Czy nie dzwoni ktoś?

— Już po raz drugi; dlaczego nikt nie otwiera?

* * *

— Pozwoli pani przedstawić sobie pana P. z Berlina, naszego miłego gościa od kilku tygodni. Pani X.

— Cieszy mnie bardzo poznanie pana.

— Przepraszam, że zostawiam państwa samych: goście zaczynają się zjeżdżać na dobre¹¹⁶⁾, i muszę robić honory domu.

— Dawno niewidzianego!¹¹⁷⁾ Jakto można o nas tak zapominać?

— I tyś nie łaskaw na nas od kopy lat.

— Obowiązki, obowiązki, których spełnianie pochłania mi mnóstwo czasu. Ostatnio musiałem dla poratowania zdrowia wyjechać do wód.

— Za to wyglądasz, „jak rydz“.¹¹⁸⁾

— Pan radca z małżonką! Jak zdrowie?

— Dziękuję, nie najgorzej. Zabawa dobrze się zapowiada.

— Robimy, co można. Kiedy państwo powrócili ze wsi?

— Będzie już ze dwa tygodnie.³⁴⁾ Bawiliśmy w tym roku dłużej, niż zwykle, przez wzgląd na dziatwę. Chorowała nam na szkarlatynę, i doktor zalecił re-

konwalescentom zostać jak najdłużej na świeżem powietrzu.

— Czy już jest zupełnie dobrze?

— „Chwała Bogu“! Najmłodsze bobo tylko jeszcze czegoś niedomaga.

— Prosimy, prosimy, panie mecenasie! A gdzie panna Zofia?

— Państwo zechcą wybaczyć jej nieobecność; przechodząc przed tygodniem przez ulicę, poślizgnęła się i tak nieszczęśliwie upadła, że zwichnęła sobie prawą rękę. Dzisiaj Zosia już prawie zdrowa, ale ręka wciąż jeszcze na temblaku.

— Bardzo żałujemy. Dowiadujemy się od państwa dopiero o całym zajściu, inaczej Wanda odwiedziłaby przyjaciółkę.

— Straciłam pana w tłumie zupełnie z oczu, panie Karolu. Jak pan czas spędza, — bawi się?

— Brak mi słów dla wyrażenia zachwyty. Co za bukiet piękności! Jakie wspaniałe toalety! Wszystko to mieni mi się przed oczami w blasku żyrandola, kin-kietów, kandelabrow i drogocennych kamieni. Oto i walc. Czy wolno mi przypomnieć o obietnicy?

— Służę panu.

— Dziękuję. Tańczy pani bosko i . . .

— Czy mogę prosić o walczyka? ⁵⁾

— I owszem. Pan wybaczy, panie Karolu; potem mi pan dopowie.

— Jak pani może tańczyć bez ustanku? Ledwo pani spocznie na krzesełku, już ją unosi nowy tancerz w swych ramionach.

— Lubię taniec namiętnie, bez pamięci! ¹¹⁹⁾ Mogę też dużo wytrzymać.

— Czy wolno prosić?

— Trochę później, — jestem za bardzo zmęczona.

— Więc i panią zmógł wreszcie taniec!

— Bynajmniej, urządzam sobie tylko króciutką pauzę; za sekundę będę mogła puścić się na nowo w tany. ¹²⁰⁾

— Co grają teraz?

— Przygrywkę do mazura. Oho, moj kawaler pędzi już przez salon po mnie! Do widzenia zatem przy kolacyi!

* * *

— Wyznam teraz otwarcie, że nie wiedział, co myśleć o mecenasowskim tytule pańskim, zaznaczonym przez naszego miłego gospodarza przy przedstawieniu.

— To, panie, zabytki ubiegłych czasów. Dziś udzielają tego przydomku w życiu powszednim tylko nam, weteranom adwokatury, dźwigającym już ładnych kilka „krzyżyków na barkach“.¹²¹⁾ Spójrz pan, proszę, na tańczące pary. Aż się dusza raduje!

— Mazur przykuł moją uwagę od samego początku, i żał mi niewymownie, że nie mogę w nim przyjąć udziału.

— Patrz pan, co za werwa, co życia w tych hasających parach! Twarze rozpromienione, z oczu iskry się sypią; tańczą niejako nie nogami, a całym ciałem, duszą całą! Na przykład, ten szatyn z ciemno-blond wąsikiem i muszką, który tańczy z panną Wandą, pierwszy froter¹²²⁾ warszawskich salonów, — jaki wdziek w ruchach, jakie oddanie się zabawie . . . , a hołubce wybija . . . !

— Co to za taniec, zaczęty przez następną parę?

— To oberek z przyklekaniem; tańczą go często w mazurze. Teraz zostawię pana samego i powrócę do zielonego stolika, od którego oderwały mnie dźwięki muzyki. Starym ja, ale za każdym razem, jak usłyszę mazura⁵⁾, rzucam karty na stół, chociażbym miał wpakować właśnie grającego na dziewięć bez dwóch, i biegnę do salonu — nieraz ku zdumieniu partnerów, by się napawać przez chwilę naszym polskim tańcem. Uciekam już, bo partnerzy siedzą z pewnością, „jak na szpilkach“. A polecam się łaskawej pamięci!

§ 17. Po balu.

— Niewyspany pan dzisiaj, zmordowany? Widać to po bladej twarzy i ospałości w ruchach.

— Ale ubawiłem się, jak nigdy w życiu.

— Bardzo mnie cieszy, żeś pan zadowolony z zabawy; to było jednym z jej celów.

— Trzeba oddać polakom sprawiedliwość, że potrafią się ochocić. Tańczyć na zabój prawie całą noc, od pół do dwunastej do trzech na siódmą, ustając jedynie podczas kolacyi! To sztuka nielada! Przytem tak mało znać było przymusu wśród licznie zebranych, taką wiało serdecznością, jakby wszyscy byli zażyłymi przyjaciółmi. Ile było wszystkiego ⁶⁶⁾ osób?

— Przeszło siedemdziesiąt.

— Dopiero co się wstało, panno Wando? Jesteśmy pomęczeni?

— O, mogłabym już zacząć tańczyć na nowo! Co pan powie o naszych tańcach?

— Byłem „w siódmym niebie“, szczególnie podczas mazura. Ale i inne tańce, jak, na przykład, galopada z figurami, wywołują bardzo efektowne wrażenie. Widząc ją po raz pierwszy, prowadzoną w ten niezwykły dla mnie sposób, próbowałem podpierać ścianę plecami ¹²³⁾, ale wciągnięto mnie niemal przemocą do kółeczka.

— Czy był pan obecny przy nieco niefortunnym wypadku w mazurze?

— Byłem i musiałem dusić śmiech w sobie ¹²⁴⁾, jak i wielu innych. Choć z drugiej strony jabym się nie lepiej wywiązał z zadania: puścić naraz w tańcu swoją damę, która stawia kieliszek wina na posadzce, klęknąć przed nim z rękami, złożonemi na plecach, i, zginając powoli w kabłąk tułów, ująć ustami naczynie z napojem, wstać na równe nogi i wychylić jednym ciągiem, nie pomagając sobie ani razu rękoma! Łamane sztuki! Nic dziwnego, że jeden z tancerzów unurzył nos w kieliszku przy nachylaniu się, a drugiemu, gdy już był prawie u kresu niebezpiecznej podróży, prysnął cały trunek ustami i nosem.

— Dla nas całe zajście było o tyle niezwykłe, że ma ono rzadko miejsce w salonach. Kawalerowie są prawie zawsze dostatecznie wyćwiczeni. Zresztą, cała manipulacya o wiele prostsza, aniżeli może się wydać na pierwszy rzut oka.

— Pan, panie Karolu, był zdjęty podziwem ¹²⁵⁾ na widok przyklekań w oberku i wychylania kieliszka w mazurze, a to jeszcze nie ostatnie słowo wybryków, towarzyszących tańcom w Polsce.

— Tego mało!? No, dziękuję.

— U nas w mieście zacierają się powoli właściwości życia i zabaw przodków, lecz na wsi, u więcej konserwatywnej braci szlachty ⁴⁷⁾ tradycja przetrwała w części po dziś dzień. Tam mógłby pan jeszcze gdzieś niegdzie napotkać obchody, o jakich nigdy nie marzył, — że wspomnę chociażby o kuligach, opisanych przez Wandę, hucznych weselach kilkodniowych lub piciu z pantofelka.

— Z czyjego?

— Z pantofelka królowej balu; młodzież ściąga go z nóżki obranej, pomimo — zresztą niezbyt silnego — oporu z jej strony i wychyla następnie po kolei ¹²⁶⁾ duszkiem węgrzyna z zaimprovizowanego puhara.

— Hm, hm, „padam do nóg“! ¹²⁷⁾ Nie zazdroszczę pani aż do przywrócenia ładu w mieszkaniu.

— Robota po balu nie taka mozolna, — więcej trudów i zachodów sprawiają przygotowania. Miałam aż po uszy długich narad z kucharzem, którego przyjął na dwa dni, układania menu, chodzenia po zakupy do różnych sklepów delikatesów, owocarni, ogrodnika, rzeźników, cukierni. W głowie mi szumiało i padałam ze znużenia, pomimo częściowej wyręki przez francuzkę i Wandę. Jednocześnie musieliśmy układać listę zaproszonych osób i łamać sobie głowę nad tem, by nikogo nie pominąć i nie narazić się ludziom. Pisanie i rozsyłanie zaproszeń wzięli na siebie mąż i Wanda.

— Mogliśmy sobie utworzyć pojęcie o rozmiarze pracy pani z wybornej kolacyi i gustownego przybrania stołów.

— To ostatnie pochłoneło też nie mało czasu. W sam dzień balu należało wydać srebro, szkło, serwisy, bieliznę stołową, przerachować wszystko, by odebrać następnie w porządku od wynajętych lokajów, i dać baczenie jednocześnie na przygotowania w kuchni i na nakrywanie stołów. Panna Josephine okazała

się i tym razem nieocenioną, — nie podołałabym sama wszystkiemu; na nią spada lwią część zasługi.

— Gdyby to można było przywrócić stary porządek w mgnieniu oka.

— Za dwa dni najpóźniej nie ujrzy pan w mieszkaniu nawet śladu zabawy. Zamiatanie, froterowanie posadzek, trzepanie i ustawianie mebli na zwykłych miejscach, oprawianie świec i wietrzenie pokoi — to igraszka w porównaniu z poprzedzającą je pracą.

— Na długo będzie pani miała teraz spokój?

— Mniej więcej do połowy stycznia. Zwykle wydajemy jeden bal tylko do roku, ale tym razem należało zainaugurować wstąpienie w świat naszej filutki.

— A mniejsze zebrania?

— Mamy przez zimę u siebie jour-fixy we czwartki.

— Na których zapewne często-gęsto¹²⁸⁾ młodzież zerka w stronę fortepianu.

— Cóż robić? Niechaj się bawią, póki młodzi; lepiej w domu, niż poza domem.

— Zdążyłem już zauważyć znaczną różnicę u warszawiaków i berlińczyków w sposobie spędzania czasu, wolnego od zwykłych zajęć. Podczas gdy ci ostatni lgną więcej do zabaw publicznych, do przebywania w knajpach, salach tańca, teatrach, teatrzykach i ogródkach, pierwsi rozkoszują się życiem rodzinnem i wysoko rozwiniętem towarzyskiem.

— Tak, to prawda.

— Do państwa, na przykład, niekiedy po kilka razy w tygodniu wpadnie ktoś z krewnych albo z bliższych znajomych na herbatkę.

— Zawsze jestem im rada. Nie myśl pan, by nasz dom stanowił wyjątek pod tym względem. Bynajmniej, to przyjęte prawie w każdej rodzinie. I dobrze nam z tem!

— Czy nawet w karnawale?

— W karnawale zabaw już za dużo, ale nawet i wtedy mają one miejsce w domach prywatnych, poza kilku wielkimi balami w Resursie Obywatelskiej i Kupieckiej i w niektórych towarzystwach, jak u wioślarzów i cyklistów. Nadto odbywa się pięć maskarad w Salach Redutowych, Teatrze Wielkim i Rozmaitości.⁸¹⁾

Zresztą, nikt nie jest obowiązany chodzić wszędzie, dokąd otrzymał zaproszenie.

— Szczęśliwy kraj, którego mieszkańcy umieją i mogą w podobny sposób uprzyjemniać sobie życie.

— Umieć — umieją, lecz nie zawsze mogą.

— Pozostaje mi wyrazić swą szczerą wdzięczność szanownym państwu za interesowanie się wczoraj moją osobą wśród tłumu po większej części obcych mi osób i ułatwianie znajomości z niemi. Serdeczne dzięki!

18. Teatr.

— Gdzie wasze okrycia? Oddam je do kontra-markarni na jeden numer razem z parasolami i kaloszami; męskie palta pójdą na drugi.

— Zaczekajcie, panowie, chwileczkę, — musimy sobie poprawić fryzury, bo szale je nam pogmiotły. Zaczesz, Wandziu, włosy z przodu więcej do góry. Teraz leżą dobrze.

— Napróżno obawialiśmy się spóźnienia. Orkiestra stroi dopiero instrumenta, a kapelmistrza wcale jeszcze nie widać.

— Skończyliby wreszcie to rzempolenie, — istna kocia muzyka!

— Nie spodziewałem się ujrzeć podobny teatr, — dużo tu gustu, komfortu i wygody; widownia o pokąźnych rozmiarach.

— Obecny wygląd teatru datuje się nie od dawna, mniej więcej od lat czterech. Dużo w nim pozmianiano i przebudowano; wtedy też zastąpiono gazowe oświetlenie elektrycznem.

— Sala już prawie pełna, niektóre tylko łóże stoją jeszcze pustkami.

— Czy wolno prosić którą z pań o lornetkę, bom zapomniał swojej, a nie mogę dojrzeć gołym okiem naszego vis-à-vis?

— I my nie zabrałyśmy z sobą: zbyteczny ambaras wobec usłużności zarządu teatrów. Pan „szuka, a prosi Pana Boga, aby nie znalazł“.

— Ależ nic nie widzę!

— Sięgnij pan, proszę, ręką ku jednemu z czterech futerałów, przymocowanych do lewej ściany łoży, a znajdzie pan, czego szuka.

— W samej rzeczy.⁷¹⁾ Teraz dopiero widzę przez lornetkę, że w taki sam futeerał zaopatrzono tylną poręcz każdego krzesła. Wspaniały koncept!

— Uzna pan pomysł za jeszcze wspanialszy, jak go poinformuję, że nawet osoby, siedzące na amfiteatrze i galeryach obu piątr mogą korzystać z wprowadzonego udogodnienia: każdy, kto oddaje rzeczy do garderoby, otrzymuje bezpłatnie lornetkę od woźnego. Okrycia służą za zastaw.

— Toż to znaczny wydatek dla teatru, i nie tylko jednorazowy. Trudno się przecie ustrzedz kradzieży lornetek.

— Co do ¹⁰⁾ widzów sfer wyższych, niema obawy: palto każdemu milsze nad małowartościową w stosunku do niego lornetkę. Co zaś do ¹⁰⁾ widzów parterowych, ha, może się który i zląkomić! Dyrekcyja teatrów przedsięwzięła też pewne środki ostrożności: na składowych częściach lornetek jest wyrznięty lub wyciśnięty stempel teatru.

— Rzuca mi się w oczy kompletny brak dam w pierwszym rzędzie krzeseł.

— U nas nie jest w zwyczaju, by panie zajmowały tam miejsca. W pierwszym rzędzie widać stale oficerów, przedstawicieli wyższych władz miejscowych, którzy nie mają specjalnych miejsc dla siebie w teatrze, i złotą młodzież.

— Sza, sza, kapelmistrz wznosi już do góry batutę!

* * *

— Co za żywy oklask, jakim entuzjazmem przejęta publiczność!

— Nasz ludek umie się zapalać, często nawet za bardzo, gdy nagle zaczyna bić brawo, zanim śpiewak zdążył dociągnąć arję do końca. Wywoływanie aktorów i aktorek z za kulis po pięć, sześć razy jest w teatrze zwykłym przejawem zadowolenia. Przytem jesteśmy dzisiaj na polskiej operze, „Halce“ Moniuszki. Jeżeli

brawo przed chwilą ogłuszyło pana, to po mazurze, tańczonym na scenie, będzie pan musiał chyba uciekać „gdzie pieprz rośnie”: tak teatrem wstrząsa burza oklasków.

— Szkoda, że nie zabrał z sobą waty do zatkania uszu.

— Rzuć pan okiem ³¹⁾ po sali, — co za świetna publiczność!

— Istotnie.

— Czy widzi papa wuja Stefana z ciocią i dwiema jakimiś paniami?

— W krzesłach?

— W łoży pierwszego piętra, — czwarta z brzegu. Lornetują nas w tej chwili i kłaniają się.

— Aha, racya.

— Gdzie znikł nagle pan Karol?

— Chyba się zapadł pod ziemię, bo nim spostrzegł, jak nas opuścił.

— „O wilku mowa, a wilk tu.”

— Pozwoli pani ofiarować sobie tę drobnostkę.

— Ślicznie dziękuję, — doprawdy psuje mię pan. Świetne czekoladki.

— Już dzwonek, kurtyna się zaraz podniesie.

— Czy zadawalnia pana przedstawienie?

— Prawie zupełnie, jak w części wokalne, tak i co do ¹⁰⁾ wystawy. Wprawdzie sopran rozporządza głosem nie o wielkiej skali, ale nadzwyczaj czystym i miękkim i wyzyskuje go umiejętnie. Pierwsze dwa akty przeszły prawie bez zarzutu. Ot, nieprzyjemnie trochę rażą ucho głosy niektórych z artystów, wykonywających podrzędne role, ale i ten dysonans ujdzie.

— A o polskich ubiorach ani słowa?

— Tylko przez roztargnienie. Byłem po prostu zachwycony świetnością kostjumów; pysznie prezentują się te postacie o krótko przystrzyżonych włosach i sumiastych wąsach, przystrojone w barwne kontusze, żupany, konfederatki, palone buty i karabele.

— Mnie, panie, dusza się raduje na podobny widok; swojskie to, drogie dla serca polaka!

— Czy zdążę jeszcze wyjść na papierosa? ¹²⁹⁾

— Chyba tak. Zaprowadzę pana do foyer; nie brzydkie.

— Dobry wieczór paniom. Zauważyłem je z krzeseł i pośpieszam złożyć swoje uszanowanie.¹³⁰⁾

— Czy będzie pan na balu u X-ów?

— Otrzymałem trzy zaproszenia na piętnastego i jestem w kłopotcie, które przyjąć. Pójdę jednak na pewno do X-ów, jeżeli panna Wanda przyrzeknie mi mazura.⁵⁾

— Dobrze, ale pamiętaj pan, że i ja liczę teraz na pana.

— Już koniec antraktu. Przepraszam, muszę pójść na swoje miejsce. Pani będzie łaskawa pozdrowić ode mnie małżonka.

— Dziękuję, nie omieszkam.

* * *

— Tak, łaskawy panie, możemy się szczycić teatrem. Balet nasz jest znany w całej Europie, a komedia, choć nie zażywa równego rozgłosu, nie ustępuje bynajmniej pierwszemu.

— Potakuję panu w zupełności po tem, jakem sprawdził na własne oczy i uszy zdanie warszawiaków o tutejszej scenie. Baletowi waszemu nie wiele jaki dorówna — wynik to zresztą gorliwego uprawiania tańca przez cały naród —, a w komedyi macie pierwszorzędne siły. Dziwi mnie, skąd w jednym teatrze taki dobór.

— Właśnie dlatego, że w jedynym.

— Co pan przez to chce powiedzieć?

— Weź pan, na przykład, Berlin. Macie tam z pół tuzina, jeżeli nie więcej, wielkich scen, a w całych Niemczech możemy ich naliczyć jeszcze dwa, trzy razy tyle. Więc najlepsze siły rozpraszają się, każdy teatr ma swoją gwiazdę, a role podrzędne poza nielicznymi wyjątkami spoczywają w rękach miernych aktorów. W całej Polsce natomiast możemy przyjąć w rachubę z poważnych wszystkiego ⁶⁶⁾ dwie, trzy sceny, pośród których góruje niezaprzeczenie warszawska. Ta ostatnia jest metą i środowiskiem dla kapłanów i kapłanek Melpomeny; przyciągają ich względny dobrobyt, jaki

zapewnia warszawska scena swoim adeptom, a w jeszcze wyższym stopniu — powaga tego przybytku sztuki.

— Dlaczego polskie gwiazdy sceniczne nie dają się poznać szerszemu światu?

— Nie skromność ich powstrzymuje — ani trochę! —, a więzi aspiracye wstrzemięźliwość z musu.

— Podejrzynam, co pan ma na myśli: zwykły los aktorów dramatycznych.

— A tak. Jeśli zresztą taka Sarah Bernard objeżdża świat naokoło i zbiera laury, to należy nie zapominać, że gra ona w języku, zrozumiałym w całym ucywilizowanym świecie, zaś z polskim niedaleko pan zajędzie. Artystki, jak Modrzejewska, która, będąc polką, byłaby w stanie grać w obcym języku, nie znam zupełnie drugiej. A mieliśmy jeszcze niedawno aktorki i aktorów, którzy porywali tłumy i wstrząsali niemi do głębi, — że wspomnę chociażby o Królikowskim i Żółkowskim. To byli artyści z „bożej łaski“, i, gdyby ich wydały na świat Niemcy lub Francya, nazwiska ich rozbrzmiewałyby po całej Europie i Stanach Zjednoczonych. A tak, okryli swe czoła aureolą sławy na swojskim gruncie i wryli się w serca jedynie rodaków.

— Oba nazwiska aktorów, których pan przed chwilą wynosił pod niebiosa, spotykałem już niejednokrotnie w szpaltach dziennikarskich w Warszawie. Czy dawno temu umarli?

— Będzie z osiem lat.³⁴⁾ Za każdym występem Królikowskiego staczano formalne bójki o bilety, mniej więcej tak, jak dzisiaj na braci Reszke, lub jeszcze przed niedawnym czasem na Mierzwińskiego.

— Czy z Reszków polacy?

— Nie inaczej.

— Słyszałem i czytałem o nich bardzo dużo, ale dotychczas nie było mi danem napawać się głosem którego z nich.

— Widzi pan zaraz na tym przykładzie, jak odmienne są warunki zyskania sławy dla śpiewaków.

— Sądzę, że łatwość dla nich występowania w o-

bcych krajach, o ile są obdarzeni głosem po temu⁶⁰⁾, odbija się trochę ujemnie na warszawskiej operze.

— Bardzo słuszna uwaga. Mamy dużo dobrych, nawet świetnych tenorów, barytonów, basów, sopranów i altów, ale tych pociąga szersza arena, oni łakną laurów od świata całego, no, i . . . tysięcy za każdy występ. A nasz teatr nie taki zasobny w środki. Przytem dyrekcyja nie zawsze umie zatrzymać te siły swojskie, które pomimo danych ku temu, by się puścić w świat szerszy, z chęcią żyłyby pośród swoich. Co za skutek tego wszystkiego — sam pan wie dobrze.

— A tak, macie tu w Warszawie międzynarodową operę. Na afiszach figurują wciąż w obsadzie ról tytułowych włoskie, hiszpańskie, francuskie nazwiska, tylko polskich trudno się dopatrzeć.

19. Łazienki.

— Zamówić gondolę, czy dwie dwuwiosłówki?

— A masz wiosłarzów do dwóch łódek?

— Jest nas czterech mężczyzn.

— Trzech znam, wliczając i siebie, czwartego nie mogę dojrzeć.

— Tatko bo zawsze sobie kpi ze mnie, a ja mam już przecie skończonych czternaście lat i jestem uczniem piątej klasy.

— Nie pozostaje mi nic innego, Jacku, jak kapitulować wobec tak silnych argumentów. Jaką przeznaczasz załogę każdej z łodzi, admirale?

— W jednej może sięść do wiosła tatko z panem Karolem, w drugiej ja z Tadziem.

— A zapytałeś, czy pan Karol wiosłuje?

— Uprawiam na szczęście i ten sport.

— Usiądź w naszej łódce do steru, oni sobie dadzą radę.¹³¹⁾

— Odbijajcie od przystani.

— Zarób, Jacku, kontra . . . jeszcze trochę, ale nie pluskaj tak, bo nas całych zamoczysz.

— Wcale nieźle robi wiosłem, tylko poco je tak zagłębia.

— Za dużo łódek na taki mały staw.

— W dzień powszedni nie widać tu o tej porze ani żywej duszy; w niedzielę pełno spacerowiczów w Ogrodzie Botanicznym i Łazienkach.

— Nie dziwi mnie, że warszawiacy są rozmiłowani we wspaniałym parku. Otwiera on w samej rzeczy ⁷¹⁾ pyszne widoki, zdolne podzielać i na natury mało wrażliwe na piękno. Ja przynajmniej mógłbym siedzieć godzinami ¹¹⁴⁾ nad wodą i zatapiać wzrok to w zgrabnym pałacyku, wyłaniającym prześlicznie swe białe mury z zieleni i odbijającym je w zwierciadle wód, to w panoramie, roztaczającej się od frontowej strony wdół stawu z okalającym go murem roślinnym, z białemi, jak śnieg, łabędźmi, sunącemi majestatycznie po powierzchni sadzawki, z wysepką, na której ginie scena posród gęstych zarośli.

— Pan Karol wygłosił przed chwilą w natchnieniu kompletny hymn na cześć dzieła Stanisława Augusta.

— Proszę się nie wyśmiewać ze mnie, bo wywrócę łódkę i potopię wszystkich co do jednego.

— Ułatwiam panu zamach na nasze życie i zaczynam bujać wehikuł.

— Ostrożnie, Wandziu, — na wodzie niema żartów; steruj baczniej, by nas nie wsadzić na brzeg!

— Czy w teatrze na wyspie grają obecnie?

— W razie sprzyjającej pogody wystawiają latem w niedzielę balet przy elektrycznem oświetleniu.

— Wyobrażam sobie, jak uroczo wygląda wtedy ten zakątek.

— Wciąż mi wyskakuje wiosło z dulki. Wyszedłem z wprawy w wiosłowaniu. Czy nie dosyć zabawy na dzisiaj? Odszukajmy drugą łódkę i dobijmy do przystani.

— Jeżeliś zmęczony . . .

— Tak źle nie jest ze mną.

— Wie pan, panie Karolu, liczę sobie już siedemnaście wiosen, a nie widziałam jeszcze w swem życiu ani jednego bałwana morskiego.

— A dwunożnych?

— Szkaradny z pana człowiek! Kiedy mnie się prawie zbiera na płacz¹³²⁾, pan drwinkuje sobie. Czy to nie okropne?!

— To zbrodnia. Powinna pani skusić na przyszłe lato papę do podróży nad morze, chociażby do Ostendy.

— Ach, gdybym ja była mężczyzną! Pan z pewnością odbył już niejedną podróż morską.

— Obeznany jestem z morzem: mieszkałem chłopcem¹³³⁾ w Gdańsku, gdzie uczęszczał do gimnazjum, byłem też w późniejszym wieku w Anglii i Marsylii. Ilem razy szybował po falach w czółnie z rozwiniętymi żaglami; ilekroć zaskoczyła mnie burza na pełnem morzu, i „moje życie wisiało na włosku“! Podrostkiem będąc, spędzałem sporo czasu z marynarzami. Szczególną przyjemność sprawiał mi wtedy widok okrętów, zawijających do portu. Często wciskałem się ze znajomymi majtkami na pokład jednego z kolosów, stojących na kotwicy, i nuż wspinać się na bocianie gniazdo, nuż pomagać swemi drobnemi rękami przy zwijaniu żagli i lin! Wesole to były czasy!

— Czy przeszedł pan morską chorobę?

— Nie ominęła mnie; przeleżałem na nią w drodze do Marsylii kilkanaście godzin. Myślałem już, że stoję jedną nogą na tamtym świecie.

— Hola, hola, do nas! Nie uderzcie tylko o łódkę! Czas wysiąść na brzeg.

— Obetrzyj się, boś cały oprysnięty wodą. Co poczniemy z sobą?

— Chodźmy na patelnię; odpoczniemy po trudach, porozmawiamy i przyjrzymy się przejeżdżającym powozom.

— Co to takiego patelnia?

— Nazywają w ten sposób cukiernię Loursa na tarasie w Alejach Ujazdowskich.

— Zmykajmy co sił⁶⁵⁾, bo nas deszcz „zmoczy do nitki“¹³⁴⁾! Że też akurat wtedy zaczyna padać, kiedyśmy odesłali powóz do domu!

— Brr, co za burza! „Leje, jak z cebra“.¹³⁵⁾

— Piorun musiał upaść gdzieś w pobliżu, — znowu błyska się . . .

— Od dawien dawna ¹³⁶⁾ nie pamiętam podobnej ulewy; chyba się chmura oberwała. Prędzej, prędzej, już tylko kilka kroków do cukierni.

— A tośmy wpadli z dzisiejszą wycieczką! I ktoby mógł przeczuć z rana taką zmianę pogody! Jeszcze o dwunastej widać było zaledwie drobne chmurki na niebie.

— „Z małej chmury wielki deszcz“, — to już tak zawsze!

* * *

— Dawniej Ujazdowski Plac przedstawiał zupełnie inny widok. Na miejscu plantacyi widocznie rozległy trawnik. W porze letniej siadywały na nim niańki z dziećmi; chłopcy przewracali koziołki ¹³⁷⁾ albo grali w piłkę. Co pewien czas ⁵³⁾ odbywały się tu wystawy rolnicze i przemysłowe.

— A dawno wzniesiono cerkiew na placu?

— Przed kilku laty, jednocześnie z przekształceniem całego terenu.

— Pamięta tatko zabawy wielkanocne na Ujazdowie?

— Chciałoby ci się zapewne wdrapywać na słup, he?

— Gdzie, na Ujazdowie?

— Uważa pan, urządzano tam na Wielkanoc podług starego zwyczaju doroczne zabawy ludowe. Różni wędrowni akrobaci, magicy, fotografowie, właściciele menażeryi, strzelnic i panoram rozkładali swoje budy na placu, a przekupki — piwiarnie i stragany ze słodyczami, wędlinami i herbata. Ustawiano huśtawki, karuzele i młyny dyabelskie, i ludź napływał ze wszystkich stron miasta, by zapomnieć w wirze zabaw o powszednich troskach życiowych.

— A co ze słupami? Czy i one pojawiają się na widowni?

— Punktem kulminacyjnym całej zabawy było właśnie wdrapywanie się na owe słupy. Magistrat polecał wkopywać w ziemię z dwóch stron placu po jednym słupie ¹³⁸⁾ wysokości kilku pięter z małą platformą u wierzchołka. Tam spoczywały przedmioty pożądań zebranych: całe ubranie męskie, cebula sre-

brna, flaszka wina i dziesięć rubli gotówką. Słup smarowano od dołu do góry szarem mydłem. O dwunastej otwierano pod okiem policyi zapasy.

— Piekierne przedsięwzięcie! Kto się odważał na coś podobnego i jak przystępował do dzieła?

— Zdobywanie darów miasta ze słupów zagarnęli w swe ręce mularze, pośród których można spotkać wielu rośłych chłopów, silnych i zgrabnych, jak wie-wiórka.

— Podług mego widzimisie jeden człowiek nie jest wcale w stanie dokonać naraz tej sztuki.

— Wchodzili też oni po kilku do spółki, następnie zdejmowali wierzchnią odzież aż do koszuli i kaless-nów, wsypywali sobie za koszulę w pasie sproszkowanego wapna i przypuszczali szturm.¹³⁹⁾

— Czy na placu bywały obecne i kobiety?

— Bardzo dużo. Biedaczki zasłaniały sobie wsty-dliwie oczęta, „piekły raka“¹⁴⁰⁾, niby odwracały głowę na stronę i niby nie widziały zapaśników w bieli. W rzeczywistości ciekawość kobieca brała górę i w tym razie nad wstydlwością.

— Czy nie zachodziły nieszczęśliwe wypadki?

— Rzadko. Mularze przywykli w swym zawodzie do karkołomnych sztuk: drapia się wciąż do góry po drabinach i rusztowaniach, wciągają i spuszcza ją po linach, i w danym wypadku zastosowywali zdobytą umiejętność. Cały akt przebiega w następujący sposób. Jeden z zuchów idzie na pierwszy ogień, ścięra rękoma szare mydło u dołu słupa, naciera go wapnem i wspina się do góry. Następnie ujmuję słup silnie między nogi, zwisa w powietrzu i toruje sobie rękami dalszą drogę, jak na początku. Zwykle pierwszy zalezie niewysoko, spuszcza się na ziemię i ustępuje miejsce następnemu, który ma przed sobą ułatwioną robotę do pewnej wysokości. Za drugim lezie trzeci i tak dalej, dopóki w końcu nie dosięgną celu. Czasami rząd współników nie dobiegnie końca, a twierdza już zdobyta, czasami znowu muszą ponawiać szturm od pierwszego. Zdob-wca odtręca przedewszystkiem na platformie szyjkę flaszki i czerpie z niej przyzwoity łyk; potem poczyną sypać dowcipami, „jak z rękawa“, kosztem gapiącej

się publiczności, robi przegląd zdobyczy i zjeżdża tryumfalnie na ziemię, gdzie dzieli się z kolegami, o ile nie przedsięwziął dzieła na własną rękę.

— Co to za ogród? Na sztachetach są przyklepione sążniste plakaty.

— Przejeżdżamy około Doliny Szwajcarskiej. Jest to bardzo ładny i rozległy ogród z letnim cyrkiem drewnianym. Latem i zimą urządzają tu koncerty, w karnawale — maskarady o wątpliwej wartości.

— Moglibyśmy już wrócić do Łazienek: wiatr rozpędził chmury, i rozpogadza się.

— Ja bo nie piszę się¹⁴¹⁾ na wniosek. Wracam do domu i zmieniam na sobie natychmiast wszystko od a do zet.

20. O wojsku.

— Nie życzylbym sobie siedzieć w obecnej chwili w skórze żołnierzów, stojących obozem wprost Łazienek.

— Mógłbym nieco powiedzieć z osobistego doświadczenia o rozkoszach obozowego życia.

— Czy pan służył już w wojsku, panie Tadeuszu?

— Przed dwoma laty. Szczęśliwi posiadacze świadectw dojrzałości, którzy wstępują do uniwersytetu i innych wyższych zakładów naukowych, otrzymują odnośnie odbywania powinności wojskowej zwłokę do dwudziestego siódmego roku życia i stają zwykle do wojska po ukończeniu studyów. Ja byłem jeszcze kompletnym młokosem przy opuszczaniu gimnazyum i postanowiłem za poradą ojca przed przystąpieniem do pracy uniwersyteckiej uporać się z wojskiem. Wstąpiłem do pułku, jako jednoroczny ochotnik.

— Kładzie pan taki nacisk na słowo jednoroczny, jak gdyby chciał mi dać do poznania, że egzystują i inne kategorie ochotników.

— Mamy ich dwie. Przeciąg służby jest zależny od stopnia wykształcenia. Kończący mniej, niż sześć klas gimnazyalnych, ale nie mniej nad cztery, korzy-

stają z praw dwurocznych ochotników, czyli drugiej kategorii, świadectwo z sześciu klas i wyżej jest połączone z prawem służby jednorocznej.

— I mieszkał pan w namiocie?

— Przez cztery miesiące, jak przystało na żołnierza. Miałem jedynie o tyle wygodę, że wywalczyliśmy do spółki z pewnym towarzyszem broni oficerski namiot o podwójnem pokryciu i potrójnym dachu, podczas gdy żołnierskie są pojedyncze.

— Wyobrażam sobie, jak woda przecieka przez płótno podczas deszczu.

— W żołnierskich z początku, jak przez sito, pomimo pozornej nieprzemakalności materiału. Z chwilą, gdy płótno przesiąknie zupełnie i napęcznieje od wody, nie przepuszcza jej więcej.

— Średnia przyjemność z zamknięcia w podobnie wilgotnem pomieszczeniu podczas kilkodniowej słoty!

— Markotność więźniów dosięga szczytu, jeżeli woda podmyje namiot. Wtedy rozpoczyna się na gwałt¹⁴²⁾ sypanie ochronnego waliku, wbijanie kołków i naciąganie płótna.

— Co robią żołnierze w swem schronisku po całych dniach i nocach?

— Owijają się w szynele i wylegują z musu na tapczanie, o ile niema zwykłych ćwiczeń w pułku, albo o ile nie stoją na warcie. Przytem opowiadają sobie o dawnem życiu, o krewnych, żonach i dzieciach, opuszczonych w rodzinnej wiosce, o powrocie na łono rodziny, o znojach i przygodach służbowych, o zajściach w pułku bieżącej doby. Niekiedy zanuci który, a inni poczną wtórować, zlewając dźwięki smętnej dumki z pluskiem strumieni deszczowych. Kto ma cukier i herbatę, rozgrzewa skostniałe członki gorącym napojem. A wszyscy złorzeczą pogodzie i zawodzą żale.

— Wspominał pan coś o żonach i dzieciach żołnierzy. Czy miał pan zapasowych na myśli?

— Bynajmniej. W Rosyi biorą mężczyzn z poboru do wojska w dwudziestym pierwszym roku życia, a do tego czasu wielu poborowych, szczególnie wieśniaków, zdąża nie tylko pożenić się, ale nawet mieć po kilku potomków.

— Na jak długo osierocają wtedy ojcowie swe rodziny?

— Nie korzystający z żadnych ulg w piechocie — na cztery lata, w jeździe — na pięć, a niewielu z nich pokończyło szkołę miejską, co skraca termin służby o rok.

— W jakim pan służył gatunku broni?

— W piechocie.

— Teraz dopiero jestem w stanie wyrozumieć dostatecznie męzny wygląd wielu rosyjskich żołnierzy, spotykanych na ulicy. Wstępują oni do wojska później o rok od naszych, a pozostają w niem o dwa dłużej. Wielu zapuszcza długie brody i wąsy i dodaje sobie tem powagi.¹⁴³⁾

— Zauważył pan zapewne ostatni szczegół przeważnie w gwardyi. Żołnierzom, którzy wnoszą z sobą do niej zarost na twarzy, nie wolno go zgalać.

— Czy miał pan dobregorotnego dowódcę?

— Niczego sobie.¹⁴⁴⁾

— Do której kompanii przeznaczono pana?

— Prosiłem adjutanta pułkowego o zaliczenie mnie do piętnastej przez wzgląd na dobrego dowódcę. Nie od razu przystał dla mego wysokiego wzrostu, ale dał się uprosić.

— Ileż rot liczy pułk, jeżeli pan służył w piętnastej?

— Szesnaście frontowych, po cztery w każdym batalionie, i jedną niefrontową, zbiorowisko chałastry pułkowej: rzemieślników wszelkiego rodzaju, jak krawców, szewców, piekarzy, kowali, puszkarzy, następnie stajennych, służby oficerskiej i klubowej i innych ciurów.

— Nie czuł pan powołania do wojaczki? Ma pan wszelkie dane ku temu, by zrobić świetną karierę na polu wojskowem.

— Nie tak bardzo, jak się panu wydaje. Niechętnie opuściłbym kraj, a na miejscu nie awansowanoby mnie wyżej nad stopień kapitana. W głębi Rosyi droga stoi otworem i dla polaka. Odsłużyłem swój rok, w ciągu którego zaznałem nieraz trudów życia wojskowo-koczowniczego, naździerałem podeszew bez

liku, naścierałem sobie pięty, nachodziłem godzinami ¹¹⁴⁾ po kolana w śniegu i „dałem za wygraną”. ⁵⁸⁾ Popamiętam manewry, — dały mi się we znaki! ³⁰⁾

— Marny wojak z pana, jak słyszę.

— Łatwo tak mówić; przejdź pan sam podobne manewry! Ani to się wyspać, ani odpocząć, — wciąż poganiają, jak bydło, naprzód. A jak już po mozolnym marszu wojsko zasłuży sobie na biwak, roznieci ogniska i pocznie gotować strawę w kotłach, — nagle przeszywa powietrze sygnał alarmowy. W mgnieniu oka kotły do góry nogami, parującą już zupę na płonące ogniska, tornister na plecy, karabin na ramię, pustą manierkę przez ramię, — i odbijaj na nowo ślady po piachach ¹⁴⁵⁾ ciężkimi butami, albo przedzieraj się przez gąszcza, dopóki nie opadniesz z sił ¹⁴⁶⁾ do szczeretu!

— Czy niema dłuższych przystanków?

— O zakładaniu obozu ani mowy prawie; zaledwie dadzą niekiedy wypocząć na słomianych matach w polowych namiotach, do których trzeba się czołgać na czworakach. Wciąż marsze tylko, stanie na czatach w kordonie albo ukrywanie się w zasadzce, utarczka, ucieczka albo prześladowanie nieprzyjaciela, odwrót, znowu marsz i powtórzenie programu w poprzednim lub trochę zmienionym porządku.

— Wytlómacz mi pan, dlaczego szeregowiec, który przeszedł dopiero co około podoficera, nie salutował zupełnie? Znowu drugi . . . trzeci . . .

— Hm, jak tu wyjaśnić . . . ot, po prostu, idą za utartym zwyczajem.

— Jakto, więc nigdy nie salutują!? A gdzie poszanowanie dla stopnia, gdzie karność wojskowa? I zwierzchnicy „puszczają płazem” ¹⁴⁷⁾ podobne przekroczenia?

— Zwyczajnie tak. Tylko oficerowie z komendantury baczą na zachowanie dyscypliny i w tym kierunku i pociągają obie winne strony do odpowiedzialności; wtedy nie ominie areszt żadnego. Ale tych panów wystrzegają się, jak zarazy, nie tylko żołnierze, ale nawet i oficerowie, co nie przeszkadza, by od czasu do czasu nie wpadł jaki nieborak.

— Czy szeregowcy nie salutują nawet przed swoimi bezpośrednimi zwierzchnikami niższych stopni?

— Rozprężenie dyscypliny nie zaszło tak daleko. Zwykle nawet salutują przed wszystkimi podoficerami tego samego pułku, ale na tem koniec. Niechaj pan nie przypuszcza, by podobne uchybienie rozluźowało w silnym stopniu subordynację. Prawda, szeregowcy nie drżą tak przed podoficerami wogóle, jak na przykład, w niemieckiej armii; pomiędzy obiema stronami wywiązuje się niejednokrotnie stosunek poufały. Przyczynia się do takiego stanu rzeczy niski stopień wykształcenia jak jednych, tak i drugich. Wielu podoficerów zaledwie potrafi stawiać koślawce na papierze ¹⁴⁸), — o poprawnej pisowni ani mowy nawet. Ale oficer pozostaje dla żołnierza zawsze świętością, za nim pójdzie on ślepo w ogień i w wodę.

— Jak długo należy pan do rezerwy?

— Jako ochotnik jednoroczny przez dwanaście lat. W ciągu tego czasu powołają mnie dwa do trzech razy na ćwiczenia.

— Czyż różnym jest przeciąg należenia do rezerwy dla wziętych z poboru i dla ochotników, a pomiędzy tymi ostatnimi dla jednorocznych i dwurocznych?

— Dla ochotników termin służby czynnej i rezerwy razem trwa trzynaście lat, dla pozostałych żołnierzy — osiemnaście. Więc, jeżeli kto służy trzy lata czynnie, zostaje rezerwistą przez lat piętnaście, jeżeli pięć — przez trzynaście.

— A na długo zaliczą pana do pospolitego ruszenia?

— Na równi z innymi do czterdziestego drugiego roku życia.

— Jakim jest poziom umysłowy rosyjskiego żołnierza?

— Wystarczy, jeżeli powiem, że około siedemdziesięciu procent rekrutów stanowią kompletni analfabeci; reszta w części umie czytać, w części i pisać. Potem stosunek zmienia się nieco na korzyść ¹⁴⁹) ponieważ w rotnej szkole zasadzają młodych, to jest (t. j.), tych, którzy nie służyli jeszcze dwóch lat, do elementarza i szyfrowej tabliczki.

21. W drodze na wieś.

— Wytrzęsie nas potężnie w bryczce, ale trudno: powóz na resorach, przysyłany po mnie zwykle na stację, znajduje się chwilowo w reparacyi.

— Czy dał pan do odświeżenia?

— Opowiadał mi właśnie stangret, że onegdaj rozbiegały się konie u powozu i wyrządziły dosyć znaczną szkodę: dyszel połamany, jedno koło rozleciało się na drobne kawałki, uprzęż porwana, szyby potłuczone.

— Szkoda, — powóz zasłoniłby nas od kapuśniaczka, który poczyną smagać w twarz.

— Owiń się pan w burkę i otwórz parasol. Tak, teraz będzie lepiej.

— Ile mil od kolei do pańskich dóbr?

— Będzie z pięć.³⁴⁾ Ale to fraszki; konie niosą dobrze, i w trzy godziny staniemy na miejscu.

— Jak duży majątek pański?

— Mam dwa klucze z jedenastu folwarków, — jeden w Kieleckiem, do którego zmierzamy, drugi w Radomskiem.

— Co pan rozumie pod kluczem?

— Tak nazywają dobra ziemskie, składające się z wielu folwarków, należących do jednego właściciela i stojących pod jednym centralnym zarządem.

— Dużo ma pan lasu?

— Około pięćdziesięciu włók; ornej ziemi posiadam do stu czterdziestu, łąk — do trzydziestu włók, reszta — ugory, pastwiska i nieużytki.

— A co pan sieje przeważnie?

— Pszenicę i żyto, następnie owies; sadzę też kartofle dla gorzelni i buraki dla poblizkiej cukrowni.

— Czy dobry był urodzaj u pana w tym roku? U nas ogromnie lichy; przez cały czerwiec i pierwszą połowę lipca trwała uporczywa susza, i spaliło większość zasiewów.

— Ja nie mogę narzekać; nie obrodził tylko rzepak, zresztą miałem niezgorsze zbiory. Klęska dotknęła

mię z innej strony: padło mi sporo sztuk bydła na nosaciznę. Zaraza poczyniła przed dwoma miesiącami dotkliwe spustoszenia w całym powiecie.

— Czy dużo pan trzyma bydła?

— Do tysiąca sztuk, nie wliczając w to owiec i nierogacizny.

— Czyż to się panu opłaca, i ma pan podostatkiem paszy?

— Ostatniej nie brak, a ciągnę z bydła podwójny zysk: z jednej strony mam nawóz, z drugiej — pokaźne dochody z pachtu, z hodowli koni, ze sprzedaży wołów, cieląt i wieprzy. Zaś rozchody niewielkie na nie.

— Gdzie pan zbywa?

— Sporo wywożę rok rocznie ¹⁵⁰⁾ za granicę, resztę pędzę na jarmarki okoliczne.

— O ile wnioskować z tego, com widział i słyszał dotychczas, sam pan nie zarządza dobrami?

— Nie; mieszkałem na wsi po ślubie, dopóki dzieci nie potrzeba było posyłać do szkół; natenczas sprowadziłem rodzinę do miasta. Mam zarządzającego, na którym mogę zupełnie polegać. Jest to agronom z powołania, człowiek zdolny, pracowity i sumienny, co rzadko idzie w parze ¹⁵¹⁾ u tej kategorii ludzi. Jesteśmy obaj zadowoleni z siebie. Muszę nawet otwarcie wyznać, że od chwili, jak mój obecny plenipotent objął zarząd majątkami, przynoszą mi one znacznie większe dochody.

— Zapewne zaprowadził różne zmiany i ulepszenia?

— A no, zgadł pan. Ja, panie, jak przeważna większość naszego obywatelstwa, należę do starej szkoły, a jeżeli usiłowałem kroczyć za duchem czasu, zbywało mi na niezbędnych naukowych podstawach fachowego wykształcenia. Pan wie, jak to u nas, braci szlachty ⁴⁷⁾: konserwujemy system gospodarski ojców i praojców, zapominając o tem, że tamci żyli częścią zasobami przeszłości, częścią — ogólnym zastojem ekonomicznym, że nowe warunki życia wymagają nowych sposobów produkcji. Dopiero, jak powstanie przed zacofanym rolnikiem rzeczywistość w całej swej nagości pod postacią grożącej ruiny, chwyta się on za głowę i dalejże lamentować wniebogłosy! Ale wtedy trudno zaradzić

złemu, — brak ziemianinowi wykształcenia i kapitałów niezbędnych na zaprowadzenie racjonalnej gospodarki.

— Czy pański zarządzający ukończył agronomiczną szkołę?

— W Puławach, — i jak przybył do mnie, uzbrojony w cały zasób najnowszych wyników agronomii i w kilkoletnie doświadczenie, zebrane na praktyce, jak zaczął zaprowadzać ulepszenia w uprawie roli i płodozmianie, zastosowywać różne maszyny, pługi parowe, młocarkę, żniwiarę, — tak ci mi zmienił majątek w ciągu trzech lat do niepoznania. „Jak Boga kocham!“¹⁵²⁾ Spreżysta bestya! Swoją drogą i ja zaglądam często do gospodarstwa, bo — „pańskie oko konia tuczy“.

— Więc położenie rolników jest tak rozpaczliwe?

— Gonią, kochany panie, po większej części resztkami¹⁵³⁾, zakopani w długach po uszy¹⁵⁴⁾: hipoteki przeciążone, lasy wytrzebione, zboża sprzedane już „na pniu“¹⁵⁵⁾, pugilaresy pachciarzów i innych dobroczyńców ludzkości wypchane kwitkami, wystawianymi w różnych czasach przez dziedziców. Poza tem wszystkim, wielu obywateli żyje nad stan. „Póty dzban wodę nosi, póki się ucho nie urwie,“ — i butni panowie zmuszeni są w końcu „wychodzić z torbami“¹⁵⁶⁾ w świat, wyzuci rad nierad z ojcowizny.

— To nie wesołe; przechodzimy obecnie w rolnictwie ogólne przesilenie, przyprawiające wciąż liczniejsze ofiary o chudobę. „Bóg dał, Bóg wziął“.

— E, ja nie spozieram ponuro w przyszłość! Należy tylko nie opuszczać rąk¹⁵⁷⁾, a zabrać się żwawo do pracy.

— Brr, jak trzęsie! Co to, zjeżdżamy z szosy?

— A pan by chciał wciąż jechać po równej drodze! Wygodniś z pana! Nie zapominaj, że podróżujesz w Polsce, słynnej z swoich szos.

— Naopowiadano mi o opłakanym stanie dróg w Królestwie, ale po godzinnej jeździe po wspaniałym bitym gościńcu zaczynałem się już łudzić i wierzyć, że, jak często, tak i w tym wypadku ludzie przesadzają.

— Poczekaj pan, gorzko odpokutujesz za swą dobrą wiarę; będziemy się teraz tłukli przez całe pół godziny po dołach i wybojach. Bacność!

— Co za pocieszny widok ... tam ... na pastwisku pod kępą krzaków. Nie widzi pan cielaka, który się wyrwał z gromady, zadarł ogon, bryka i podskakuje?

— Może go osa kasa.

— Co za mnóstwo krzyżów, krucyfiksów, figur świętych i obrazków spotykamy po drodze! To chyba kraj świętych, czy co?

— O, zaraz sięgać tak wysoko! Po prostu, nasz lud jest bardzo pobożny i służy Panu modlitwami i ofiarami.

— Wciąż zapominam, że bawię w jednej z najprzedniejszych placówek katolickiego kościoła. Czy tylko naród jest w samej rzeczy ⁷¹⁾ szczerze i głęboko religijny? Ja bo spoglądam zawsze z niejakim sceptycyzmem na bijących pokłony.

— Zapewniam pana, że religijny i pobożny, aż do bigoteryi. I czemu się tu dziwić? Uczucie czci boskiej jest związane u chłopca z materyalnemi potrzebami, oraz z nadziejami życia, tak jak uczucia ojcowskie są u niego często w prostym stosunku do potrzeb ekonomicznych. Może jest istota wielka, którą można ubłagać! Może jest taki zarząd świata, co widzi łzawą chłopską niedolę, co powstrzymuje grad, powodzie i pożogi, co piorunami włada i śmierci rozkazuje! A gdy pan zważy na dobitkę zabiegi duchowieństwa około utrwalenia w ludzie krzepiącej go wiary, to przestanie powątpiewać.

— A jaki jest kler w Polsce? Czy księża i, szczególnie, proboszcze i wikaryusze wiejskich parafii nie podkopują sami swej powagi trybem życia, jaki prowadzą? Ej, gdyby się uderzyli w piersi, toby się chyba tam coś odezwało! ¹⁵⁸⁾

— Hm, jak tu panu powiedzieć ... I księża są ludźmi z krwi i kości i nie bez słabostek, ale nie wyzyskują swoich owieczek.

— Rozumiem.

— Jedź, Wojtku, trochę stępa ⁵⁾, bo konie zziajane, para z nich bucha, jak z kotła.

— „Pochwalony Jezus Chrystus“!

— „Na wieki wieków¹⁵⁹), amen“!

— Co to za chłopci, czy z pańskich posiadłości?

— Bóg ich raczy wiedzieć.

— Przecież pozdrawiali pana i zdejmowali kornie czapki.

— To u nas w zwyczaju po wsiach. Wieśniak wita w ten sposób każdego przechodnia na drodze. Jeżeli jest podochocony, to zagabuje nawet żydków słowami: „pochwalony Jezus Chrystus!“

— Czytałem kiedyś — gdzie, nie przychodzi mi chwilowo na myśl —, że żydom nie wolno się osiedlać poza obreębem miast. Może mnie zresztą i zawodzi pamięć, bo mam krótką i przypominam sobie tylko „piąte przez dziesiąte“.¹⁶⁰)

— Ziarnko prawdy tkwi w pańskich słowach. Wzbronione im jest zamieszkiwanie na wsi w pasie pogranicznym i nabywanie wogóle na własność gruntów chłopskich. Pomimo to nie brak żydów w wioskach, gdzie spełniają jawnie funkcje pachciarzów, arendarzów i pośredników przy sprzedaży produktów rolnych, skrycie — lichwiarzów, fanciarzów, doradców i tak dalej (itd.). „Jak bieda, to do żyda“, — jest on nieodłącznym satelitą pana dziedzica, a poniekąd i kmiotków.

— Jak dziwacznie ubrane te chłopki — fartuchy na plecach!

— To od deszczu i zimna. W naszej okolicy chłopki odziewają się zwykle wcale ładnie: na głowach noszą krasne chustki, na biodrach — różnobarwne gorseciki, zawsze kilka sznurów paciorków na szyji, jaśniejszej barwy spódniczki i ciemniejsze fartuszki lub zapaski, któremi przepasają się wpół, albo je sobie zarzucają na ramiona, jak płaszczyki.

— Czy nie podjeżdżamy do wsi?

— No, nareszcie! Za dziesięć minut staniemy na miejscu. Chwała Ci, Panie!

— Murowany dom, — nie często spotykane zjawisko w polskich wsiach.

— Nie zupełnie, — z daleka łudzi oko. Na tym folwarku dwór jest z drzewa, ale podmurowany i

ściany pobielone; dach kryty gontami. W zwykłej letniej rezydencji mam zgrabny pałacyk z ogniotrwałej cegły.

— Piękna lipowa aleja.

— Zajeżdżaj, Wojtku, wprost przed ganek, a trzaśnij dziarsko z bicia. — Dlaczego nikt nie wychodzi na spotkanie, — powymierali, czy co? A no, trzeba zejść z bryki.

— Zataczam się kompletnie, jak pijany.

— Przeprowadź koniska po dziedzińcu i daj im dzisiaj zwiększoną porcję obroku i siana. Zapracowały sobie. Ostrożnie, panie Karolu, bo kasztan wierzga! Kary potulniejszy.

— O mały włos poczęstowałby mnie.

— Teraz podjeść sobie i do łóżka!

— Dobranoc, śpij pan smacznie.

— Panu życzę tego samego. Ja mam bardzo twardy sen, i mnie armatami nie zbudzi.

22. Na wsi: gospodarstwo, polowanie.

— Więc pan twierdzi, że chłop polski jest mało oświecony?

— Strach, jak ciemny.¹⁶¹⁾ Stąd właśnie pochodzi zacięty kierunek zachowawczy naszego chłopca, każący mu trzymać się oburącz przestarzałych form gospodarstwa rolnego; stąd jego wiara w gusła i zabobony, w uroki, w „mądrych“ i tak dalej (itd.), która się przyczynia pomiędzy innemi (p. in.) do strasznej śmiertelności dzieci wiejskich w pierwszych latach życia, stąd jego nierozumienie spraw publicznych.

— Cóż to takiego „gusła“ i „uroki“? Słyszę po raz pierwszy te wyrażenia.

— Gusła sięgają pogańskich czasów na Litwie, gdzie tworzyły obrządek religijny; gęślarze albo guślarze byli jednocześnie kapłanami i poetami. Co się zaś tyczy do uroków, to lud wierzy, że niektórzy są w stanie wywołać swem zaklęciem chorobę we wrogu,

albo zadać inną jaką klęskę, to jest (t. j.), rzucić urok na kogo, uroczyć kogo.

— A gdzie duchowieństwo? Nie wykorzenia ono zabobonów i przesądów? A nauczyciele wiejscy? Toż to ich zadanie oświecać naród, krzewić w nim zdrowe poglądy na świat i na życie.

— Dotychczas osiągnięto w tym kierunku mało pocieszające rezultaty, i wieśniacy zamiast do lekarza, uciekają się po większej części w razie choroby do „mądrych“, „owczarzów“ i „owczarek“, którzy odczyniają urok, robią gusła, przepędzają złe duchy, jakie opętały chorego. Częściej, aniżeli z porady doktora, korzystają chłopi z leków felczerskich.

— Na czym polegają praktyki owych znachorów?

— Gusła robią w następujący sposób: „mądry“ naleje do garnuszka ciepłej wody, wrzuci weń kilka węgli i parę kawałków chleba i daje choremu napić się po trzykroć wody, szepcząc jednocześnie — może i dla samego „mądrego“ niezrozumiałe — zaklęcia. Dla odczynienia uroku puszczają często krew. Owczarskie sposoby leczenia polegają na okadzeniu choremu głowy octem, zmieszanym z solą i rozlanym na rozżarzone węgle, na kąpaniu w otrębach, na okładaniu ran ciepłą kaszą, na wkładaniu cierpiącego do pieca, na okąpaniu nowonarodzonego dziecka w zimnej wodzie i, czy ja wiem, na czym jeszcze.

— Wystarczy i tego, com słyszał. Po prostu nie do uwierzenia, — a pomyśleć, jak się chełpimy naszą rozwiniętą kulturą i nauką! Włosy powstają na głowie!

— Ale, pomijając ciemnotę i jej skutki, nasz kmiotek jest zdrową odnogą społeczną: wytrzymały, pracowity, usługny, łakomy na rolę i przywiązany do niej.

— We Wschodnich Prusach i Poznańskim polski chłop nie robi kroku bez narady z żoną.

— Tutaj nie lepiej: chłop jest ocieężały i brak mu inicjatywy. Jak zacznie rozważać, a wyszukiwać przeszkody nawet tam, gdzie ich niema, a wątpić z góry w powodzenie przedsiębranego kroku, to albo „zaśpi gruszki w popiele“¹⁶²⁾ zupełnie, albo otrząśnie go z bezpłodnych rozmyślań dopiero zmycie głowy przez żonę. A znowu, jak się bestya zatnie, to „ani rusz“⁴⁶⁾,

nie odciągniesz go w dziesięć koni od wykonania tego, co sobie raz wbił w głowę.

— Ciekawy materiał do badania. O, wyzyskam tydzień pobytu na wsi i wniknę możliwie w życie polskiego kmiotka!

— Nie tak łatwy przystęp do niego: wieśniak odnosi się z pewnego rodzaju niedowierzaniem do panów z miasta, i zawsze podejrzywa, że chcą go tylko „wywieść w pole”.¹⁶³⁾ Zresztą, i czasu ma pan nie wiele przed sobą, raptem jeden tydzień. O ile to będzie w mojej mocy, ułatwię panu zadanie.

— Ile ja mam do zawdzięczenia kochanemu panu! Uprzedza pan po prostu moje myśli i dogadza mi na każdym kroku, jak długoletniemu przyjacielowi.

— Co tu dużo mówić: jest mi pan miłym gościem i basta! Chodź pan lepiej za mną, a pokażę mu gospodarstwo.

— Już biegnę.

— Co pan woli zwiedzić przed obiadem: ogród czy zabudowania gospodarskie?

— Jako człowiek skromny, chciałbym jedno i drugie.

* * *

— Co za liczne ptastwo domowe, czego tu niema! Kury, koguty, perliczki, kaczki, kaczory, indyki, indyczki, gęsi, nawet gołębie. A jak to się czubi, — zupełnie jak ludzie!

— Spójrz pan, jak tam paw napuszył się.

— Dlaczego tamten kogut ze wspaniałym grzebieniem siedzi oddzielnie w kurniku?

— Szelma z niego, zawadyjaka! Nie dawał żadnej kurze przejść spokojnie, do każdej się zalecał, z każdym stworzeniem w tem państewku musiał zadzierać. Więc klucznica — pocieszna kobiecina, zawrzyj pan z nią bliższą znajomość — miała mowę do niego pewnego pięknego poranku, jak nawyskubał jednej z kokoszek więcej pierza, niż zwykle: „Takiś ty rozbójnik, — to posiedź sobie za karę w areszcie!”

— W której stronie leży ogród?

— Tuż za parkanem, stąd dwadzieścia kroków. Nie wiele pan ujrzy o tej spóźnionej porze, — zima

już „za pasem“¹⁶⁴); rano są kompletne przymrozki, i ziemia pokryta szronem. To samo na polach: wszystko zżęte, skoszone, zebrane, powiązane w snopki, zwiezione do śpichrzów i stodół, a częścią nawet omłócone.

— A stogi siana przed szopą?

— Zabrakło mi miejsca w budynkach, i muszą tu wyczekiwać.

— Czy zasiał pan już oziminy?

— Orkę skończono, i zaczynam siać. — Pchnij pan furtkę nogą, a otworzy się.

— Wszystko to owocowe drzewa i krzewy?

— Z małemi wyjątkami. Bardzo wiele zasadziłem własnemi rękoma.

— Zauważam, że grządki są dobrze uprawne. Kto się opiekuje ogrodem?

— Ogrodnik, a latem i moja żona, póki bawi na wsi. Park, ogród i ptastwo domowe — to jej „oko w głowie“. Przed powrotem do miasta nasmaży zawsze różnych konfitur i powideł, przygotowuje marynat i nalewek na calutki rok. Specyjalistami od tych smakołyków są moje dzieci; łasują, panie, „jak na komendę“.

— Co to za krzak?

— Porzeczkowy; obok rosną maliny i agrest.

— A tutaj?

— Ogórki; pięknie wyrosły w tym roku.

— Dalibóg, ogród, jakich mało. Jabłka, gruszki, śliwki, renglody, brzoskwinie, orzechy, wiśnie, truskawki — wszystkiego, jak na zawołanie!

— Tylko nie w tej chwili. Ale jak latem owoc pokryje drzewa, że aż gałęzie się uginają, to ciężko opuszczać ogród: tak pociągają ku sobie te dary, tak mile łechczą oko swą różnobarwnością, a powonienie odurzającym zapachem.

— Trudno zapewne ustrzedz drzewa od szkodników.

— Ba, nie zbrakłoby na nich! I parkan nie na wiele się przydał, bo wiejscy chłopcy to zwinne łotry!¹⁶⁵) Ale i na złodzieja jest sposób: spuszcza na noc kilka groźnych brytanów z łańcucha¹⁶⁶), a te uchronią lepiej od szkody, aniżeli stróże nocni. Może pójdziemy dalej.

— Co to, zgłiszcza, — miał pan pożar u siebie?

— Niestety. Opowiem panu historię pożaru; będzie ona dla pana pouczającą, jako przyczynek do poznania moralności ludu.

— Czy wydarzył się podczas pańskiej obecności na folwarku?

— Nie, ale otrzymałem od zarządzającego sprawozdanie ze wszystkimi szczegółami. Otóż, miałem ja na tym folwarku stangreta. Dostawał sto rubli zasług i do tego zagon pod kartofle i sześć korcy ordynaryi; mógł żyć nawet w dostatku. Chociaż leniuch był z chłopą i harda bestya, znosiłem go dla niezwykłej siły i umiejętności w poskramianiu koni. Jak się rozparł nogami, a rękami chwycił tylne koła wozu, wtedy dobra fornalska para koni przez jakiś czas nie mogła ruszyć z miejsca. Wreszcie „przebrała się miarka“, i pewnego dnia, po usłyszeniu od chama grubiańskiej odpowiedzi, odprawił go ekonom ze służby. Co chłop robi? Wiedziony zemstą, zakrada się nocą do dworu i podkłada ogień pod stodołę. Zgorzała doszczętnie, ale podpalacz nie uszedł, bo po dokonaniu zbrodni potknął się o kłodę drzewa, zbudził stróża i został przyłapany na gorącym uczynku. Prawdziwe szczęście, że zauważono w porę pożar, i że nie zajęły się sąsiednie zabudowania.

— Czy pan przytacza ten wypadek, jako charakterystyczny?

— A tak. Nasz chłop jest mściwy i używa ognia dosyć często za narzędzie zemsty, nawet dla błahej przyczyny. Niekiedy zajmie dziedzic chłopską krowę, która mu wlaźła w szkodę¹⁶⁷), i ma pożar gotowy... Dobrze, jeżeli budynek jest ubezpieczony od ognia, w przeciwnym razie klęska to dla mniej zamożnych trudna do powetowania.

— Jakim prawem dziedzic zajmuje bydło?

— Podawać skargę do sądu i wymagać tą drogą wymiaru sprawiedliwości, to, proszę pana, długa procedura i zmudna. Więc właściciel gruntu, na którym obce bydło trątuje łany zboża, albo strzyże trawę, zajmuje szkodników i nie zwraca, aż po odszkodowaniu.

— Takie wypadki zachodzą chyba nieustannie?

— Bez końca. Pośle chłop dzieciaka popasać bydło po miedzach, a ten zaśnie, albo znowu pocznie wygrywać na fujarce, czy to strugać kozikiem drewniane figurki, i tak się zapomni, że ani spostrzeże, jak mu bydło umknie z pod oka.¹⁶⁸⁾

— A co robi poszkodowany, jeżeli właściciel zajętego bydła nie ma na okup?

— Jeżeli ma miękkie serce, i przyjdzie chłop z żoną i złączną zaklinać, a padać do nóg, a chwytając pana dziedzica za kolana, to w końcu ten daje się uprosić i zwraca krowę bez wszystkiego; w przeciwnym razie przyjmuje parodniowy odrobek, albo czeka, dopóki chłop nie uciula czy nie wyciągnie skądinąd groszy.

* * *

— Cóż, panie Karolu, zapolujemy jutro o świcie? U mego sąsiada szykuje się walne polowanie z naganką.

— O, „ja na to, jak na lato“!¹⁶⁹⁾

— Uprzedzam, że trzeba wyskoczyć z łóżka „z kurami“.¹⁷¹⁾

— Masz tobie, co za nieszczęście:¹⁷⁰⁾ nie mam fuzyi z sobą!

— „To najmniejsza“, znajdzie się i dla pana niezgorsza dubeltówka. Piesków też nie brak w psiarni.

— Oglądałem dzisiaj przed południem stadninę i zaszedłem do psiarni. Ma pan wiele ładnych okazów pomiędzy wyżłami i jamnikami.

— A nie uszły uwagi pańskiej ogary? Psiska, jakich mało! Mają tylko niestety rzadko okazję do wykazania swoich zalet, bo w naszej okolicy grubszego zwierza, „jak na lekarstwo“.¹⁷¹⁾

— A w sąsiedztwie?

— To samo. W przeszłym roku byłem proszony do ciotecznego brata, mającego posiadłości w Rosyi; urządził polowanie z obławą na niedźwiedzie. To była zabawa! Moje ogary poigrały sobie, — ledwo je można było utrzymać na smyczy. Ubiliśmy dwa niedźwiadki i kilka odyńców. Gdyby to mieć u nas podobne knieje!

— Czy spotyka się tu dużo drobniejszego zwierza?

— Nie brak w całej okolicy. Jakiśmy wyszli ostatnio w pole i zarośla, to ubiliśmy jednego dnia w dziesięć strzelb czterdzieści zajęcy, trzy rogacze, dwie kozy i dwa lisy. Ubawiliśmy się też przytem. Jednemu z lepszych strzelców wymknął się z pod miedzy kot prawie między nogami. Ten odwodzi kurek — paf! i spudłował. Zając wyciągnął się, jak struna, i zmykał co sił⁵⁵⁾, ale zgraja chartów poczęła doganiać zbiega. Byliśmy przekonani, że uszczują szaraka. Tymczasowo ten — widocznie szczwana sztuka —, jak tylko poczuł charty w kupie¹⁷²⁾, fajt koziółka w prawo! — psy za nim, on znowu fajt w lewo, potem kilka potężnych susów i smyk do lasu! — podczas gdy psy, węsząc, zostały, jak głupie, na skraju z popuszczanemi ogonami. Jeden z chartów usiłował mu iść na przełaj i odciąć od lasu, ale za późno.

— Zabawne. Poluje pan na dzikie ptastwo?

— Rzadziej. Na kuropatwy i jarząbki od czasu do czasu, ale nie jestem amatorem strzelania do dzikich kaczek. Nieraz trzeba przesiadywać w kucki w sio-wiu godzinami¹¹⁴⁾ i trzymać strzelbę na pogotowiu. To średnia zabawa, — ja lubię więcej ruchu, uganiania się za zwierzyną.

— Więc jutro?

— Żeby tam nie wiem co¹⁷³⁾, zapolujemy. Pójdźmy już dzisiaj po dubeltówki i ubrania myśliwskie. Należy też przygotować zawczasu torby i zaopatrzyć je w naboje.

23. Odjazd i pożegnanie.

— Więc postanowił pan nieodwołalnie dzisiaj jechać?

— Cóż robić? Obowiązki powołują mnie do kraju, żona tęskni . . .

— Niedobry z pana człowiek. Mój mąż, ja, wszystkie dzieci takeśmy się cieszyli w przypuszczeniu, że pan przedłuży swój pobyt u nas o kilka dni . . .

— Nie mogę, doprawdy nie mogę. Zresztą, jestem państwu od dwóch miesięcy tylko zawadą; objadam ich, opijam i nie mam nawet możliwości odwzajemnienia się w prędkim czasie za wszystko dobro, doznane od nich.

— A, panie Karolu, to się nie godzi! Taka to wdzięczność? Zatrzuwa pan sobie i nam ostatnie chwile pobytu wyrzutami? Czyśmy pana nie podejmowali z całą radością? Żadne z nas, a jeżeli, to obie strony zaciągnęły dług wdzięczności wobec siebie¹⁷⁴), bo uprzyjemnił nam pan czas swoim pobytom, jak nikt.

— Panie Karolu, kochany, najmiłszy panie, jeszcze tylko kilka, no, trzy, dwa dni, i puścimy pana!

— Nie można, dalibóg nie można, Jacku. Radbym z duszy, — wszyscy widzicie, jak mi ciężko przychodzi opuszczać wasze rozkoszne gniazdko, ale zależę nie tylko od siebie. Wizowałem już na wyjazd paszport w biurze paszportowem i muszę jechać.

— Ha, trudno. Wprawdzie wiza zachowuje swą moc w ciągu dwóch tygodni, ale nie namawiam pana dłużej, bo widzę, że na nic moje usiłowania. Nie pozostaje, jak pogodzić się z losem.

— Zjemy kolację i odwieziemy pana na kolej.

— O której odchodzi pociąg?

— Zaraz zajrzę do rozkładu jazdy.

— Ja wiem, mam, o kwadrans na dwunastą wieczorem.

— Lepiej sprawdzić.

— Jak państwo radzą, kupić wcześniej bilet?

— Nie, to zbyteczne. — Jutro około dwunastej stanie pan na miejscu, a pojutrze może zapomni już o całej Warszawie.

— Byłbym chyba najniewdzięczniejszym z niewdzięcznych, po prostu niegodziwcem. Wrażenia warszawskie wryły się niezatarte w moje serce, i będę z utęsknieniem wyglądał chwili, kiedy pozwolicie mi państwo przedstawić was wszystkich u siebie w domu żonie. Ona nie znajduje słów dla państwa.

— Czy nie należałoby już zacząć pakować rzeczy? I tak trzeba będzie z pewnością odmykać nie raz kufry,

by schować jakąś zapomnianą drobnostkę. „Co nagle, to po dyable“.

— Zaraz, zaraz . . .

— Dokąd pan ucieka?

— Państwo nie wezmą mi za złe, że się ośmielam ofiarować każdemu na pamiątkę po bagatelce. Jak rzucicie na nie okiem, to stanie wam może za każdym razem w pamięci¹⁷⁵⁾ przywiązany do was niemiec. Na podarunkach jest wyryta data mego przyjazdu i wyjazdu z Warszawy.

* * *

— Wejdź pan do wagonu i zajmij sobie miejsce, najlepiej w rogu przy oknie.

— Dotychczas niema żywej duszy w przedziale oprócz mnie, i będę mógł rozlokować się po królewsku.

— No, chłopcy, do roboty, pomagajcie podawać pakunki.

— Pan zechce przyjąć ten koszyczek na drogę. Proszę zajrzeć do środka nie prędzej, aż głód zacznie panu dokuczać.

— Jestem wzruszony tym nowym dowodem uprzedzającej dobroci. Pozwoli pani uścisnąć sobie i ucałować gorąco rączkę . . .

— Jeszcze tylko minuta do odejścia pociągu, — zaraz będzie trzeci dzwonek!

— Żegnaj się pan i wsiadaj do wagonu.

— Otwórz pan okno.

— Adie, adie!

— Żegnamy pana!

— Nie . . . do zobaczenia i to jak najprędzej!

— A pisz pan zaraz po przyjeździe do Berlina.

— Nie omieszkam. Bądźcie państwo zdrowi! Dzięki, po tysiącokroć dzięki!

— Ukłony dla małżonki!

Russische Schreibschule für Erwachsene. Ein Schnellkursus zur Erlernung der russischen Schreibschrift mit beigegebener Accentuation und Übersetzung m. besonderer Berücksichtigung des Militärischen. Von **Gerhard**, Prem.-Lieutenant der Landwehr. Vorlage- und Schreibheft 60 Pf., auch in 2 Teilen à 35 Pf. Übungsheft I und II à 25 Pf. Diktatheft kart. 40 Pf. Alphabet m. Aussprache apart 15 Pf.

Von den vielen Hilfsmitteln, welche in neuester Zeit zur Erlernung der russischen Sprache und Schrift geboten werden, erscheint uns die Gerhardsche Schreibschule als eins der verwendbarsten. Sie besteht aus einem Heft mit Vorschriften, die von dem grossen und kleinen Alphabet, letzteres in den gebräuchlichsten Formen, beginnend, zu Worten und ganzen Redensarten übergehen und mit Accentzeichen sowie deutscher Übersetzung versehen sind. Die Auswahl der Worte und Sätze ist dabei eine derartige, dass dadurch ein stetes Fortschreiten vom Leichterem zum Schwereren herbeigeführt wird und auch militärische Ausdrücke, Kommandos etc. zur Einübung gelangen.

Militär-Wochenblatt.

Illustrierte Russische Leseschule in grosser Schrift. Mit gegenüberstehender Übersetzung und Aussprache-Transskription nebst Accenten. Vorstufe zu jeder Grammatik. Unter besonderer Berücksichtigung des Militärischen. Von **Gerhard**, Prem.-Lieutenant der Landwehr. 60 Pf. In Partien billiger.

Im Anschluss an seine so beliebte, bisher bereits in 5000 Heften verbreitete Schreibschule bietet der Verfasser mit dieser „Soldatenfibel“ in sehr grossen Buchstaben ein ganz eigenartiges Lesebuch für den Anfang, wie es bisher nicht existierte und längst gewünscht wurde. Der Leser wird darin ganz allmählich in die Sprachschwierigkeiten eingeführt.

Russische Lehr-Karte. Auf das Dreifache vergrösserter Ausschnitt aus der russischen Haupt-Stabskarte 1:126,000 mit allen gebräuchlichen Signaturen, Abkürzungen und Bezeichnungen im Gelände. Entworfen von **Gerhard**, Prem.-Lt. d. Ldw. Preis: In Umschlag 1 M., aufgezogen 1 M. 50 Pf.

Wer da weiss, welche Schwierigkeiten das Lesenlernen der russischen Karten mit ihren kleinen und oft undeutlichen Schriften im Anfange des Studiums bereitet, wird diese Lehrkarte in dreifacher Vergrösserung als längst empfundenes Bedürfnis mit Freuden begrüßen. Aber auch dem in der Sprache Geübteren wird sie unentbehrlich sein, weil sie alle Bezeichnungen im Gelände in sich vereinigt. Nicht minder wird sie sich zu Kriegsspielen verwenden lassen. Der Preis ist so überaus billig gestellt, um eine allgemeine Verbreitung zu ermöglichen.

Signaturen-Schlüssel zu allen Karten des russischen Haupt-Stabes.

Ausführliche Erklärung aller Signaturen, Abkürzungen, Gelände-Bezeichnungen und Massstäbe russischer Generalstabskarten in alphabetischer Anordnung mit deutscher Übersetzung. Nebst einer Übersichtstafel mit 188 Original-Zeichnungen von **Cremat**, Hauptmann à la suite der II. Ingenieur-Inspektion und Militärlehrer an der Haupt-Kadetten-Anstalt. In Umschlag. Preis 60 Pf.

Enthält alle auf russischen Generalstabskarten verschiedener Massstäbe vorkommenden Zeichen, Abkürzungen etc. in sonst nirgends gebotener Deutlichkeit, Übersichtlichkeit und Vollständigkeit. Wird deshalb am besten als Schlüssel zu Gerhards russischer Lehrkarte benutzt.

Russische Meldekarten und Couverts dazu mit russischer Aufschrift nach Angaben eines Offiziers der Leipziger Garnison. Preis einer Karte in Couvert 10 Pf. In Partien billiger.

Soeben erschienen. Von dem Unterricht-Erteilenden entsprechend ausgefüllt, bilden diese Meldekarten ein ebenso praktisches wie eminent nützliches Hilfsmittel zum Lesenlernen russischer ausgeschriebener Handschriften und schriftlicher Befehle.

Russicismen. Sammlung russischer Redensarten und Sprichwörter mit Accenten und deutscher Übersetzung von **Boris Manassewitsch**. 1 M.

Mit Hinweglassung alles unnötigen Ballastes bietet das Schriftchen die in der russischen Umgangssprache gebräuchlichsten eigenartigen Redewendungen, welche sich mit der deutschen Denkungsweise nicht decken und aus der Grammatik nicht zu erlernen sind.

Russische Meisterwerke mit Accenten für den Unterricht mit und ohne Lehrer herausgegeben von Dr. phil. **Abicht**, Lektor der polnischen und russischen Sprache an der Universität Breslau. Bisher erschienen:

a) Heft-Ausgabe mit Zeilenzählern am Rande, à 60 Pf.

Ausgabe I, ohne Anmerkungen:

- Heft 1: Tolstoi, Ein Schneesturm. Autor. Ausg.
Heft 2/3: Krylov, Fabeln.
Heft 4/7: Ostrovski, Wölfe und Schafe.
Heft 8: Gen.-Maj. Ssuchomlinov, Auf Vorposten.

Ausgabe II, mit Kommentar:

- Heft 1: Tolstoi, Ein Schneesturm.
Heft 2: Kommentar dazu.
Heft 3/5 u. 10: Krylov, Fabeln m. Komm.
Heft 6/9: Ostrovski, Wölfe u. Schafe (Kommentar in Vorbereitung).
Heft 11/12: Gen.-Maj. Ssuchomlinov, Auf Vorposten, mit Kommentar.

b) Band-Ausgabe.

Ausgabe I, ohne Anmerkungen:

- Band I: Tolstoi, Schneesturm. 60 Pf.
Band II: Krylov, Fabeln. 1 Mark.
Band III: Ostrovski, Wölfe u. Schafe. 2 M.
Band IV: Ssuchomlinov, Auf Vorposten. 60 Pf.

Ausgabe II, mit Kommentar:

- Band I: Tolstoi, Schneesturm. 1 Mark.
Band II: Krylov, Fabeln. 2 Mark.
Band III: Ostrovski, Wölfe. In Vorbereitg.
Band IV: Ssuchomlinov, Auf Vorposten. 1 Mark. In Vorbereitung.

Militär-Wochenblatt 1893, 11: „Die Accentuation ist sehr sorgfältig bestimmt, der Lernende hat hier die Sicherheit, sich nichts Falsches anzueignen. Die grammatischen Anmerkungen und Texterläuterungen werden dem Anfänger eine grosse Hilfe bieten, eine Menge russischer Eigentümlichkeiten, Sitten, Gebräuche, eigenartiger Ausdrücke, Sprichwörter sind hier in geschickter, kurzer Fassung erklärt.“

Kollektion Manassewitsch. Russische Klassiker mit durchweg accentuiertem Text. Zum Gebrauche beim Unterricht mit und ohne Lehrer. **40 einzeln käufliche Hefte à 50 Pf.** Ohne Anmerkungen.

- Heft 1/5: Puschkin, Kapitänstochter. **2. verbesserte Auflage.**
Heft 6/12: Lermontov, Held unserer Zeit. **2. verbesserte Auflage.**
Heft 13/14: Turgenjev, Assja.
Heft 15/16: Lermontov, Dämon. **2. verbesserte Auflage.**
Heft 17/20: Gogol, Der Revisor.

- Heft 21/28: Puschkin, Eugen Onjagin.
Heft 29/30: Lermontov, Gedichte.
Heft 31: Gogol, Memoiren eines Wahnsinnigen.
Heft 32/34: Turgenjev, Klara Militsch.
Heft 35/38: Turgenjev, Eine Unglückliche.
Heft 39/40: Nekrassov, Gedichte.

Auf vielfach geäusserten Wunsch sind die fehlenden Hefte dieser so beliebten Sammlung durch Neudruck ergänzt worden.

Russischer Dolmetscher. **Inhalt:** Kurze Grammatik der russischen Sprache. Schreibschrift, Druckschrift. Die wichtigsten deutsch-russischen Gespräche. Reisekonversation. Orientierungsfragen. Essen und Trinken. Russische Speisekarte. Wohnungsmiete. Einkäufe. Vom Handel. Über Gewerbe. Vollständiges deutsch-russisches Wörterbuch mit Aussprachebezeichnung in deutschen Buchstaben nebst Accenten. 1 Mark.

Gerhards Russische Wandalphabete. 388 Buchstaben etc. Unaufgezogen (4 Bogen grössten Formates) 90 Pf. In Pappkasten mit eingefügten Zwischenalphabeten zur schnellen Auffindung. 5 M. 40 Pf. In Holzkiste (aufgezogen), ebenso eingeteilt 6 M. Lese-Maschinen (eingesetzt zum Aufstellen und Aufhängen) 4 M. 50 Pf.

Das russische Druck- u. Schreibschrift-Alphabet mit gegenüberstehendem griechischen Alphabet in Tabellenform, herausgegeben von Dr. Abicht. Auf Karton. Brieftaschenformat. 20 Pf.

Verzeichnis der in der...

Verzeichnis der in der...

Verzeichnis der in der...

Verzeichnis der in der...

Verzeichnis der in der...

Verzeichnis der in der...

Verzeichnis der in der...

Verzeichnis der in der...

Kutner, Severin

Die polnische Umgangssprache eine Auswahl von Gesprächen des täglichen
Lebens

Bd.: 1

1895

L.rel. 939-1

urn:nbn:de:bvb:12-bsb11646171-9